Wejherowski Konkurs Literacki

Powiew Weny

„Nawet jeśli niebo zmęczyło się błękitem,
nigdy nie gaś światła nadziei”
Bob Dylan

75 LAT
Miejskiej Biblioteki Publicznej
im. Aleksandra Majkowskiego
w Wejherowie

WEJHEROWO 2021

Miejska Biblioteka Publiczna
w Wejherowie im. Aleksandra Majkowskiego

XVI Wejherowski Konkurs Literacki

POWIEW WENY

pod patronatem
Prezydenta Miasta Wejherowa

WEJHEROWO 2021

W y d a w c a:

Miejska Biblioteka Publiczna w Wejherowie
im. Aleksandra Majkowskiego

Opracowanie i skład komputerowy:
Henryk Połchowski

Korekta: Krzysztof Powałka, Iwona Blok
Projekt okładki: Henryk Połchowski

Druk:

ISBN 978-83-940674-6-5

Wejherowo 2021

Drodzy Czytelnicy!

Organizowany już po raz szesnasty Wejherowski Konkurs Literacki „Powiew Weny“ przypadł w szczególnym okresie, bowiem w roku Jubileuszu 75. lecia Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Aleksandra Majkowskiego w Wejherowie. Przypadł także na czas szerzącej się w świecie kolejnej fali pandemii koronawirusa Covid-19, która mimo ogromu chorób i nieszczęść ludzkich, dotknęła również wielu dziedzin gospodarki i kultury oraz życia publicznego i społecznego.

Cieszę się, że mimo problemów covidowych i innych trudności, które są następstwem pandemii, tak wielu twórców zareagowało pozytywnie na zaproszenie do udziału w organizowanym przez wejherowską Miejską Bibliotekę Publiczną konkursie literackim „Powiew Weny“. Być może sprawiło to trafnie dobrane do sytuacji w świecie motta konkursu, zaczerpniętego przez organizatorów ze słów znanego amerykańskiego piosenkarza, kompozytora, poety i autora tekstów, laureata Literackiej Nagrody Nobla - Boba Dylana, które brzmiało: „*Nawet jeśli niebo zmęczyło się błękitem, nigdy nie gaś światła nadziei“*.

Jeśli tak było, świadczy to jak najlepiej o wrażliwości społecznej pracowników biblioteki organizujących konkurs i wyczuciu spraw jakimi żyją mieszkańcy, a także ich dobrym rozeznaniu intencji i oczekiwań wśród osób „parających się piórem“, którzy zareagowali na ten sygnał wyzwalając w sobie wenę twórczą oraz wolę wzięcia udziału w konkursie.

Do tegorocznej „Weny” napłynęło 41 prac, w tym 16 w kategorii Prozy: 7 – w grupie osób dorosłych i 9 – spośród młodzieży oraz 25 w kategorii Poezja: 14 – w grupie osób dorosłych i 11 – wśród młodzieży. Prace konkursowe oceniali: pisarz Daniel Odija – jako przewodniczący jury oraz

pisarz Piotr Schmandt i dyrektor biblioteki Ewelina Magdziarczyk-Plebanek – jako członkowie komisji. Zdaniem jurorów prace tegorocznego konkursu były bardzo interesujące i napisane na wysokim poziomie języka literackiego. Mimo to, jak podkreślił przewodniczący komisji konkursowej, nie było trudności z wyborem prac zasługujących na nagrody, bo jednak wyróżniały się na tle innych znaczącymi argumentami.

Zadowolenie budzi fakt, że oprócz już uznanych pod względem sukcesów twórczych osób, każdego roku objawiają się nowe talenty. Może jeszcze nie na miarę głównych nagród obecnie, ale być może już niebawem... Dlatego początkujących zachęcam do pracy nad rozwojem uzdolnień oraz kulturą i sztuką słowa pisanego, a także przekonuję, by nie zrażać się początkowymi niepowodzeniami. Każdy bowiem napisany wiersz czy opowiadanie nie jest czasem utraconym, wymaga przecież skupienia, przełamania oporów wewnętrznych i obaw, jak też i wyzwolenia mocy twórczej, a z punktu widzenia osobistego, winien przynosić satysfakcję wewnętrzną.

Dziękuję wszystkim autorom, którzy nadesłali swoje prace na XVI Wejherowski Konkurs Literacki „Powiew Weny" składając jednocześnie najlepsze gratulacje laureatom. Z największą przyjemnością a zarazem dumą, że wspomagam i promuję twórców, od samego początku patronuję konkursowi „Powiew Weny" wierząc, że przyczynia się on do do rozwoju kultury literackiej Wejherowa i regionu, a także do promocji miasta. Zapraszam osoby obdarzone uzdolnieniami literackim do wzięcia udziału w kolejnych edycjach konkursu.

Prezydent Miasta Wejherowa
Krzysztof Hildebrandt

WYNIKI
XVI edycji Wejherowskiego Konkursu Literackiego
„Powiew Weny 2021" z 23 listopada 2021 roku

PROZA

w kategorii - dorośli

I nagroda: za opowiadanie pt. "Manekin" – godło "Bazar"
- Dominik Kasicki z Gdańska;

II nagroda za opowiadanie pt. "Ludzie I obłoki" - godło "Partykuła"
- Krzysztof Szkurłatowski z Wejherowa;

III nagroda za opowiadanie pt. "Pielgrzym" - godło "Enkidu"
- Tomasz Magulski z Pętkowic.

w kategorii - młodzież

I nagroda za opowadanie pt. "Nowy początek" - godło - "Żałobnica"
- Zuzanna Dębiec z Wejherowa;

II nagroda za opowiadanie pt. "Nowelka o (bez)nadziei" - godło "zOuza"
- Oliwia Lejman z Wejherowa;

III nagroda za opowiadanie pt. Piorunujące wrażenie" - godło "Starlord A."
- Sebastian Filiński z Gdyni.

POEZJA

w kategorii - dorośli

I nagroda za wiersze pt. "Spacer z Transtömerem", "Do nadziei", "Czytelnik pisze do Kawafisa" - g. "Kalimach" - Małgorzata Borzeszkowska z Wejherowa

II nagroda za wiersze bez tytułu - godło "Sikorka"
- Klaudia Janiak z Wejherowa;

III nagroda za wiersze pt. "Lustra", "Jest mój", "Nadstaw policzek"
Godło "Jakaranda" - Małgorzata Osowiecka z Sopotu;

w kategorii młodzież

I nagroda za wiersze pt. "Zima", "Rozmowy cz. 2", "Rozmowy cz. 4"
- godło "Bakusatsuou" - Oliwia Plichta z Gościcina;

II nagroda za wiersze pt. "1." , "2"., "3" - godło "A. Soja"
- Weronika Spławińska z Tczewa;

III nagroda za wiersze pt. "Kawałek" i "Granica" - godło "Cień niezrozumianej duszy" - Lilianna Wysocka z Wejherowa.

I nagroda w kat. dorosłych

Manekin

Duszne, lepkie, czerwcowe popołudnie. Śmierdzące spaliny samochodów gryzły gardła przechodniów. Maria skierowała kroki w stronę miejskiego bazaru.

Jej sztywne w stawach palce z trudem utrzymywały uchwyt torby na kółkach, która podskakiwała na nierównościach chodnika. Pod blaszanym dachem targowiska aromat ostrych azjatyckich przypraw mieszał się z równie intensywnym zapachem potu innych kupujących.

Marię przyprawiało o mdłości. Ręką odganiała wszędobylskie muszki, które znudziły się resztkami owoców i warzyw leżącymi za straganami. Wplątywały się we włosy i przylepiały do mokrego ciała.

Podeszła do jednego z namiotów i poprosiła o pół kilo mirabelek. Sprzedawczyni zważyła porcję śliwek. Wsypała ją do foliowego woreczka i zawiązała szybkimi ruchami.

Położyła zawiniątko przed sobą, jednocześnie nabijając cenę na kasie.

− I co jeszcze? − zapytała kasjerka.

− To wszystko, dziękuję − i szybko dodała. − A wie pani, mój syn wystąpił na olimpiadzie...

Ekspedientka przewróciła oczami. Spojrzała znacząco na koleżankę, stojącą po drugiej stronie straganu. Właśnie odrywała zwiędłe liście z kalafiorów. Odpady rzuciła na kupkę za namiotem, na której leżały już podgnite truskawki. Brzęczenie podnieconych much wzmogło się.

− Dziewięć pięćdziesiąt − powiedziała kasjerka.

Maria włożyła rękę do stanika i wyciągnęła pięćdziesięciozłotowy banknot.

− Ma pani drobniej? Nie mam jak wydać − rzekła poirytowana sprzedawczyni.

Niechętnie sięgnęła po portmonetkę. Mocowała się chwilę, zanim ją otworzyła. Bilon zwonił, gdy próbowała go wyciągnąć zdrętwiałymi, pokrytymi guzkami palcami. Łowiła po jednej monecie.

Sprzedawczyni bez słowa wręczyła mirabelki. Maria włożyła zakupy do torby. Obciągnęła bluzkę, która pofałdowała się jej na brzuchu. Przeszła na przeciwległą stronę targowiska. Skróciła sobie drogę, przeciskając się między stanowiskami i przechodząc po rozdeptanych śmieciach. Jakieś obślizgłe i cuchnące liście wkręciły się w koła torby.

Uderzenia rzeźniczego topora stawały się coraz głośniejsze. Weszła do jednego z pawilonów z mięsem i wędlinami. W środku było pusto, nie licząc półtuszy wiszących na hakach, oblepionych muchami.

Odgarnęła z twarzy kosmyk włosów i pochyliła się nad ladą chłodniczą.

− Co podać? − usłyszała głos. wyłaniający się z głębi lokalu.

− 30 dekagramów metki − powiedziała, nie podnosząc wzroku.

We wnętrzu lady pojawiła się dłoń pokryta krwią. Błądziła po wędlinach. aż znalazła tę właściwą. Maria wyprostowała się i spojrzała na ekspedientkę. Jej fartuch ociekał posoką.

− I co jeszcze? − usłyszała ponownie tego dnia Maria.

− 6 plasterków wędzonej szynki. Grubych − powiedziała z dumą.

− Jakieś święto się u pani szykuję? − zapytała sprzedawczyni stałą klientkę.

− Syn na olimpiadę pojechał i wie pani − odchrząknęła, aby dodać powagi temu, co powie − medal zdobył. Jutro wraca. A pojutrze...

Ekspedientka przerwała jej słowa.

- To wszystko? Siedemnaście czterdzieści osiem.

Maria podała pięćdziesięciozłotowy banknot. Po chwili sprzedawczyni wcisnęła jej w dłoń resztę i przesunęła wędliny na skraj lady. Do stojących w kolejce powiedziała.

− Następny proszę − ale nikogo za Marią nie było.

− A pojutrze ma spotkanie z prezydentem − dokończyła w myślach zdanie, które przerwała jej ekspedientka. Wtedy przypomniała sobie, że jedyne spodnie wizytowe Piotrusia mają dziurę w nogawce.

Choć była już zmęczona i strzykało ją w kolanie, podeszła do pawilonów z odzieżą. Na wystawie zobaczyła manekina ubranego w eleganckie czarne spodnie. Uśmiechał się do niej, więc weszła do lokalu. Wzięła jedne ze spodni

leżących na półce i odsłoniła zasłonę przymierzalni. Zamiast lustra wisiał tam obraz. Zamrugała kilka razy ze zdziwienia. Złapała spodnie za pas i przyłożyła je do swoich nóg, żeby porównać długość.

− Szuka pani czegoś konkretnego? To sklep z męską odzieżą − zapytał ekspedient, przyglądający się do tej pory klientce zza biurka.

− Spodni dla Piotrusia. Jutro wraca z olimpiady. W pojutrze ma spotkanie z prezydentem. Musi jakoś wyglądać − wyrzuciła z siebie Maria.

− Proszę pani, olimpiada była trzy lata temu − powiedział sprzedawca niezadowolony z odwiedzin starszej, niewyglądającej na zamożną, klientki.

− To olimpiada specjalna. W Dubaju. Zdobył medal dla Polski − powiedziała szybko Maria.

− Aha, sprzedawca zaczął wiercić się na krześle.

Maria sięgnęła do portmonetki, aby przeliczyć pozostałą gotówkę. Gdy mocowała się z zamknięciem, upuściła spodnie na podłogę. Sprzedawca chrząknął raz i drugi. Maria drżącymi palcami otworzyła portmonetkę i wtedy pieniądze wysypały się na podłogę. Brzęk monet poniósł się po kafelkach. Przyciągnęła do siebie torbę. przejeżdżając kółkami po spodniach. Spojrzała na rozsypane pieniądze i ubrudzoną odzież leżącą na podłodze. Obciągnęła bluzkę, zastanawiając się, za co zabrać się najpierw.

− A pójdziesz stąd, ty stara wariatka − chciał powiedzieć sprzedawca, ale zamiast tego powiedział:

− Proszę pani − i raptownie wstał ze swojego krzesła.

Kobieta przestraszyła się zbliżającej sylwetki mężczyzny. Złapała uchwyt torby I pociągnęła, robiąc krok w tył. Nagle usłyszała pękniecie i trzask szkła. Odwróciła się i zamarła, gdy zobaczyła swoje odbicie spadające na podłogę lokalu. Na spuchniętej od upału i wykrzywionej twarzy dostrzegła łzę. Po chwili podłogę zalało tysiące szklanych łez.

− Ty stara… − wyrwało się mężczyźnie.

Nie dosłyszała pozostałych słów. Wybiegła ze sklepu. Ból w kolanie dał o sobie znać. Schowała się między pawilonami i oparła o ścianę jednego z nich. Oddychała głośno, łapczywie łapiąc powietrze.

– Zaceruję dziurę i Piotruś będzie wyglądał elegancko – syknęła Maria, patrząc na swoje niezgrabne palce.

Nagle poczuła na sobie czyjś wzrok. Zimny dreszcz przeszedł przez jej ciało. Nabrała powietrza i odwróciła się, podnosząc głowę.

Nikogo nie zobaczyła. Za to nieopodal na ziemi leżał manekin z odłamaną ręką. Miał na sobie czarne spodnie i wyblakły t-shirt. Wpatrywał się w nią niebieskimi oczami. Na jego twarzy namalowany był szeroki uśmiech.

Maria uśmiechnęła się do siebie.

– Też się tu schowałeś przed wściekłym sprzedawcą?

Głowa manekina opadła do przodu. Maria uznała, że kiwnął na potwierdzenie.

– Te mirabelki i szynka to dla Piotrusia. Lubi śliwki. A ty?

Manekin, jak to manekin, nie odpowiedział.

– Masz ładne spodnie – powiedziała, ciągnąc go za zdrową rękę do domu.

Dominik Kasicki

Ludzie i obłoki

Pierre Pipidgé nie miał wyboru. Zadecydowali za niego rodzice i los. Urodził się w Petersburgu, bo właśnie w tym mieście osiadł jego ojciec, tu prowadził swoją medyczną praktykę, i tu założył rodzinę. Pierre, choć wychował się w Rosji, a po rosyjsku mówił równie dobrze jak w języku ojca, to wciąż bardziej czuł się Francuzem. Może był to efekt francuskiego wychowania jakie odbierał w domu, a może wynik zachwytu corocznymi wakacyjnymi wyjazdami do Tulonu, miasta przodków. Wciąż mieszkało tam wielu ich krewniaków, a ojciec Pierre'a był właścicielem starej rybackiej chaty przy Quai Belle Rive. Ileż było tam słońca, jak cudownie pachniało morze i jakże błękitne było niebo! Beztroskie życie. Całkiem inaczej niż nad lodowatym Bałtykiem…

Pierre jasno widział nieprzyjemne strony życia w Rosji, to nie był kraj dla biednych ludzi, jednak nigdy nie myślał o porzuceniu go. Była to przecież jego ojczyzna, nawet jeśli nie czuł się Rosjaninem. No i tu poznał miłość swojego życia – Annę. Jej promienny uśmiech i ciepły głos, jej miłość, rozpraszały wszystkie nieprzyjemne myśli i rozwiewały wątpliwości co do przyszłości. Czasami zastanawiał się nad tym, jak potoczyłoby się jego życie bez niej.

Wszystko się jednak zmieniło i to szybciej niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Najpierw przyszła Wielka Wojna, przez którą, zamiast leczyć koklusz i podagrę, musiał błyskawicznie odświeżyć sobie studencką wiedzę na temat ran postrzałowych i amputacji. Przez trzy lata służby w szpitalach polowych napatrzył się na strumienie krwi płynące z żył i tryskające z aort. Odciął tyle palców i kończyn, że pewnie dałoby się w nie zaopatrzyć pułk. Był już tym zmęczony. Zmęczony myśleniem o dziesiątkach tysięcy ludzi ginących po to, by front mógł przesunąć się dwadzieścia albo pięćdziesiąt kilometrów w którąś ze stron. Był męczony operowaniem po kilkanaście godzin dziennie. Był zmęczony cdziennym ratowaniem ludzi, których zaraz o rekonwalescencji jakiś major posyłał na zatratę we frontowym piekle. Był zmęczony beznadziejnością poszukiwania w tym wszystkim jakiegokolwiek sensu.

A kiedy w końcu odesłali go do domu i znów mógł się cieszyć obecnością bliskich, zaczęła się rewolucja. I znów musiał patrzeć na zło, wiele zła, z bardzo bliska.

Rewolucja miała stanąć w obronie ubogich i uciskanych. Nie brakowało ich w Rosji, oj nie brakowało. Jednak rewolucyjna praktyka miała niewiele wspólnego z ideami, o których tak płomiennie opowiadał Lenin. Pierre napatrzył się przez kilka miesięcy na jej działanie. Przekonał się, że czasie rewolucji nikt nie mógł się czuć bezpieczny. Nawet proletariusze z robotniczym pochodzeniem wywiedzionym pięć pokoleń wstecz. Każdy mógł być uznany za wroga rewolucji i powieszony na latarni lub zastrzelony w bramie. Wystarczyło krzywo spojrzeć na jakiegoś towarzysza.

Tak stracił żonę i teścia. Ktoś życzliwy, a właściwie podpisujący się „Życzliwy" powiadomił kogo trzeba, że jego bliscy są nie tylko podejrzanymi Polakami, arystokratami, szpionami, ale też szerzą kontrrewolucyjne nastroje. Kiedy przyjechali po nich doszło do szarpaniny i padły strzały. Pierre'a nie aresztowali tylko dlatego, że go nie zastali – wrócił do domu ze szpitalnego dyżuru dopiero następnego ranka. Nim wszedł do kamienicy ostrzegła go przed kotłem dozorczyni, która mimo, że była urodzoną proletariuszką nie nazywała bolszewików inaczej niż „te czerwone świnie". Po nią też w końcu przyszli…

Francuz uciekł daleko na wschód, na Syberię. Przy armii Kołczaka spodziewał się zastać choćby odrobinę ładu, porządku, zasad. Przyjęli go z wdzięcznością, bo lekarzy z doświadczeniem frontowym brakowało, a rannych i chorych wciąż przybywało – bolszewicy nie zamierzali oddawać władzy bez walki. Szybko wróciły do Pierre'a wojenne traumy. Pojął też, że rzeczywistość białogwardyjska mocno mija się z jego wyobrażeniami o dobrze zorganizowanych siłach zbrojnych. Zasady do jakich odwoływał się biały admirał nijak się miały do tego, co Pipidgé zobaczył i słyszał wśród żołdactwa. Wypowiedział więc tę służbę i zupełnie zgnębiony nie wiedział co dalej ze sobą począć.

Ci szaleni Polacy spadli mu jak z nieba. Chcieli by swoją wiedzą służył dzieciom, które zamierzali wyrwać z trzewi syberyjskiego potwora i wywieźć najdalej jak się da. W otaczającym go chaosie Polacy wydawali się być jedynymi, którzy próbowali zrobić coś konstruktywnego i w dodatku bezinteresownie. Obłęd! Nie mając pieniędzy ani sensownego zaplecza logistycznego chcieli zorganizować transport sierot w bezpieczne miejsce. Gdzie chcieli je wywozić?

Do Polski – kraju, który właściwie jeszcze nie istniał! Jego zalążek chwiał się pod bolszewicką nawałą prącą niezmordowanie ku Warszawie. Byli szaleńcami, nie miał co do tego wątpliwości, a jednak przystał do nich, bo rozsądek i logika zawiodły go zbyt wiele razy. Przystał do nich, bo… brakowało mu polskiego języka, w którym tak często zwracała się do niego żona. Drocząc się z nią wtedy mówił, że niczego nie rozumie, a ona głaskała go czule po twarzy i patrząc w oczy odpowiadała – *Peu importe, le plus important est ce que tu ressens.* Nieważne, najważniejsze, że czujesz…

Z zadumy wyrwał go krzyk.

– Doktorze, pomocy! Szybko, pomocy! Dziecko trzeba ratować!

Do ambulatorium wniesiono jakiś zakrwawiony bezwładny ochłap, który okazał się być dziewczynką. Zmaltretowaną tak bardzo, że dającą tylko znikome oznaki życia. Jej źrenice ledwo reagowały na światło, oddychała płytko, a puls był niemal niewyczuwalny. Wciąż krwawiła i to była pierwsza sprawa, którą należało się zająć. Pierre gorączkowo badając dziecko odkrył z przerażeniem jedno ze źródeł krwawienia. Był wstrząśnięty lecz nie miał czasu na roztrząsanie tego co zobaczył, bowiem każda zmarnowana sekunda przesuwała dziecko w stronę śmierci.

***

Pawelczyk nie lubił tych wypraw do miasta, czuł się w nim obco. Za dużo ludzi, za dużo dźwięków, za dużo zapachów. W lesie spędził już tak wiele lat, że stał się on jego środowiskiem naturalnym. Czasem jednak nie było innego wyjścia – potrzebował naboi, nafty, soli. Władywostok nigdy nie wydawał mu się ładny, a miał wrażenie, że z każdym jego pobytem brzydł jeszcze bardziej. Cóż, pomyślał, z wiekiem ja też się nie robię piękniejszy…

Do tej chwili szło całkiem dobrze – sprzedał skóry i futra za niezłą cenę – tak mu się przynajmniej wydawało. Przy zakupach szybko przekonał się, że wszystko znów podrożało. Kupił co musiał, wyszedł z magazynu i już miał ruszać dalej, by jak najszybciej opuścić ulice i znaleźć się między drzewami. Dostrzegł jednak przybite do ściany obwieszczenia – zatrzymał się by je przeczytać, choć niespecjalnie spodziewał się dobrych wieści. Jego uwagę przykuł dwujęzyczny tekst – polsko-rosyjski – podpisany Annę Bielkiewicz i Józefa Jakóbkiewicza z Polskiego Komitet Ratunkowy. Nigdy wcześniej nie słyszał o tym Komitecie

i ze zdumieniem czytał, że autorzy odezwy przygotowują ewakuację polskich dzieci z Syberii, nim całą Rosję zaleją bolszewicy. Pomyślał o trójce córek, które pozostawił w leśnej chacie. Nigdy by ich nie oddał nieznanym ludziom, nie naraziłby ich na tułaczkę po obcej ziemi! Tak właśnie pomyślał – „tułaczka po obcej ziemi". On sam błąkał się po Syberii od kiedy go tu zesłano. Piętnaście lat… Czy była to dla niego wciąż jeszcze obca ziemia, a może właśnie bardziej obca jest ta odległa Polska, o której czytał przed chwilą?

Odwrócił się na pięcie i ruszył ku zachodowi – czekała go długa droga.

Od jakiegoś czasu miał wrażenie, że ktoś go śledził, że na plecach wciąż czuł czyjeś spojrzenie. Instynkt, czułe ucho myśliwego nie zawiodły go – przekonał się o tym gdy już dochodził do obrzeży miasta. Na jednej z mijanych ulic, zaniedbanej i zabudowanej nieregularnie szopami chylącymi się od dawna ku upadkowi, wyszło naprzeciwko niego dwóch obdartych wyrostków. Po chwili, gdzieś z boku wyszło jeszcze dwóch. Wiedział co będzie dalej – by potwierdzić przypuszczenia odwrócił się za siebie. Z tyłu szło jeszcze trzech. Przyglądał się tym idącym z naprzeciwka – chudzi, patykowaci, starszy miał najwyżej szesnaście lat, młodszy może ze dwanaście. W dłoniach ściskali drągi. Podobnie uzbrojeni byli ci zachodzący go z tyłu. Jeden miał jakąś starą zardzewiałą siekierę. Kiedy znaleźli się kilka metrów od niego odezwał się najstarszy:

– Ну, старик, отдавай всё! Потеряешь дубленку, но жизнь спасёшь…

Choć słowa wypowiadał dzieciak, który był w wieku najstarszej z jego córek, to Pawelczyk wyczytał z jego oczu, że nie były rzucone na wiatr. Chłopcy mieli na twarzach wypisaną determinację, a w oczach chłód. Robili to nie pierwszy raz…

Przywódca nie czekając na reakcję mężczyzny rzucił do członków bandy krótkie komendy:

– Michał i Andrzej z prawej, Ziutek z Markiem z tyłu. Witek, kiedy gwizdnę wal kamieniami, a jak uskoczy rzucamy się razem.

Na dźwięk polskich słów płynących przez mroźne powietrze myśliwemu przez głowę przepłynął potok myśli, a serce zaczęło jeszcze żywiej bić. To polskie dzieci – pomyślał.

– Chłopcy! Dzieci… – powiedział po polsku – ja też jestem z Polski. Jesteśmy rodakami!

Przywódca bandy nie był jednak zaskoczony, ale odpowiedział po polsku, choć Szczepankiewicz nie takich słów się spodziewał.

– Gówno mnie obchodzi kim jesteś, Polski żadnej nikt z nas na oczy nie widział. Kożuch dawaj dziadu, albo zacznij się modlić o szybką śmierć.

– Rodzice wasi… – myśliwy wciąż próbował rozmawiać.

– Ziemię gryzą od dawna, a zaraz i ty do nich dołączysz!

Kiedy usłyszał głośny, ordynarny rechot wydobywający się z tych dziecięcych ust, nagle stwardniał. Jednym ruchem zerwał z pleców dubeltówkę i wycelował ją w przywódcę. Ten jednak się nie przestraszył.

– Mnie może zabijesz, może Witka też, ale reszta cię załatwi. Masz tylko dwie lufy i nie zdążysz ich przeładować. My dostaniemy to czego chcemy, a ty skończysz z siekierą w głowie. Nie wrócisz już do swojego lasu. Ty, a może właściwie nie masz tam do czego wracać?

Pawelczyk dobrze wiedział, że nawet jeśli odda tym drapieżnikom wszystko co ma, nie ujdzie z życiem. Nie będą ryzykować, że kiedyś zechce ich odnaleźć powróciwszy z większą siłą. Na ułamek sekundy przymknął powieki, by jeszcze raz ujrzeć twarze córek. Boże, dopomóż… – pomyślał.

Huk dwóch wystrzałów szybko następujących po sobie poniósł się po okolicy. Rozległ się wrzask i stłumione odgłosy uderzeń. Chrzęst kruszonych kości, a zaraz potem cisza. Zapadł zmrok i skrył wszystko, czego i tak nikt normalny by nie chciał oglądać. Zło w ciemności chłeptało ludzką krew.

***

Do przytułku przywieziono kolejne dzieci – czwórkę rodzeństwa. Młodsze przylgnęły do chudego jak szczapa kilkunastolatka o wielkich ciemnych oczach. To do niego kierował swoje pytania Jakóbkiewicz.

– Jak się nazywasz?

– Hałamernik, Piotr Hałamernik.

– Ile masz lat?

– Piętnaście.

– Ojciec i matka jakie imiona mają?

– Tata – Wincent, a mama Anna, ale nie żyje.

– A rodzeństwo to jakie ma imiona?

– No ja najstarszy, a to jest Marysia, to Anastazja, a to Ela. Jest jeszcze Ania, ale została z tatą. Miał być też brat, ale umarł jak tylko się urodził. A mama zaraz po nim…

– Do Polski to chcesz jechać?

– Ja tam nie wiem, co to za Polska i gdzie ona. Samemu to nie chcę nigdzie jechać.

– Z siostrami pojedziesz.

– A tatko i Ania?

– Ojciec musi na razie zostać i chce żeby z nim była Ania.

– A nas to nie chce przy sobie zostawić? Niby czemu?

– Rozmawialiście przecież o tym, tłumaczył ci ojciec. Może za jakiś czas do was dołączą.

– Ale na pewno?!

– Takie są czasy, że nie ma nic pewnego… Nie wiem nawet, czy choćby was uda się wyrwać z tego syberyjskiego piekła. Zrozum, my ratujemy tylko dzieci, bo na tyle mamy pieniędzy. Na wszystkich nie starczy – dorośli muszą sobie poradzić sami. Jesteś już dość duży by rozumieć, że ojciec nie podoła z opieką nad wami wszystkimi. To jak jedziesz?

– Nie chcę tatki zostawiać…

– Chłopcze, to ojciec was tu wysłał, bo kocha was i chce ratować, choć, uwierz mi, serce mu pękało z bólu, gdy podejmował tę decyzję.

Jakóbkiewicz chciał jeszcze coś dodać, ale się powstrzymał widząc łzy zbierające się w oczach chłopca, którzy tak bardzo chciał być Piotrem, a tak naprawdę wciąż jeszcze był tylko Piotrusiem. Dzieciak walczył ze sobą i po chwili twardym tonem spytał:

– A do jedzenia będzie co?

– To mogę ci obiecać.

– Ale dla sióstr też będzie chleb?

– Będzie, a może się znajdzie i …

Nie dokończył zdania, bo do sali wtargnął Francuz.

– Doktorze, bardzo proszę pójść ze mną w tej chwili!

***

Pawłowski z Kaczmarkiem nie potrafili wyjaśnić Jakóbkiewiczowi jakim cudem z jedenastoosobowej grupy dzieci wiezionych z Czyty do sierocińca we Władywostoku dotarła tylko czwórka. Opiekunowie byli zmęczeni, zasnęli…, a wtedy przepadła ta siódemka. Zniknęli w nocy bez śladu. Wytłumaczenie mogło być tylko jedno – bezprizornym chłopakom nie uśmiechało się prowadzenie normalnego życia. Woleli ulicę niż sierociniec, więc wymknęli się cichaczem. Ulica zbyt długo była ich domem. Na niej niepostrzeżenie z dzieci stawali dorosłymi. Zwykle najpierw drobnymi złodziejaszkami, a z czasem coraz groźniejszymi zbirami.

Pierre Pipidgé nie miał czasu na rozmyślanie o dzieciach, których nie przywieziono do ośrodka. Jakóbkiewiczowi przekazał pod opiekę parę braci, którzy poza siniakami wydawali się być w niezłym stanie, a sam w pierwszej kolejności miał do wykonania trudną pracę z ośmioletnią dziewczynką. Była bardzo niedożywiona, a właściwie strasznie wychudzona – szkielet obciągnięty skórą. Nie to jednak było najgorsze, bo przy odpowiednim, łagodnym stymulowaniu układu pokarmowego, przemyślanym dawkowaniu witamin i środków odżywczych dziecko mogło dość szybko odzyskać siły i wrócić do sprawności. Niestety, z jej stanem psychicznym było dużo gorzej. Dziecko trwało w jakiejś formie stuporu. Pozwoliła się poprowadzić do kąpieli, a potem nie chciała z niej wychodzić. Dała się zdezynfekować, pozwoliła też się nakarmić kilkoma łyżkami rosołu. Problemem był całkowity brak kontaktu. Wielkie niebieskie oczy patrzyły nieprzytomnie w przestrzeń, nie reagowały na machanie dłonią przed nimi. Nie wiadomo było nawet, czy dziecko słyszy – nie reagowało na słowa. Dziewczynka nie mrugała gdy Pierre klaskał to z jednej, to z drugiej strony jej głowy. Próbował wołać ją imieniem jakie wyczytał w metryce, którą miała ze sobą. Wszystko na nic. Może łatwiej byłoby mu dotrzeć do pacjentki, gdyby wiedział jakie wydarzenia wywołały tę traumę.

Na szczęście nie miała żadnej choroby wenerycznej. Pamiętał szok jakiego doznał, gdy po raz pierwszy zdiagnozował syfilis u dwunastolatki. W tych paskudnych czasach, w tym dzikim kraju, sieroty, które trafiały na ulicę zaczynały

żyć jak dorośli. I nie było mowy o monogamii. Dziewczynki stawały się własnością wszystkich chłopców tworzących uliczne bandy. Ciała niejednej nosiły ślady ciąż. Pytania lekarza o los dziecka zwykle trafiły na mur milczenia.

– Panie Pawłowski, a skąd mamy jej metrykę?

– Przyniósł ją ten myśliwy, który ją przyprowadził.

– Ojciec?

– Raczej nie. Wyglądał na Ajna, czy tam innego Czukcza. Po rosyjsku ledwie dukał. Powtarzał tylko, że to Polaczka, znajda, i że chora, bardzo chora. Tyle zrozumiałem. A kiedyśmy wzięli metrykę, to on migusiem obrócił się na pięcie i popędził do lasu. Nawet się nie obejrzał. Co było robić, wzięliśmy ją ze sobą. Te chłopaki, co to zwiali w nocy, cały czas jej dokuczali, wyzywali, naśmiewali się. Musieliśmy ją trzymać przy sobie, bo Bóg wie co by jej mogli zrobić. Wie pan jacy są ci bezprizorni.

– A ona, jak się zachowywała w drodze?

– Tak samo jak i teraz. Stała i siadała tam gdzieśmy ją postawili albo posadzili.

– Cóż, na razie zaprowadź ją pan do izolatki i dopilnuj, by co dwie-trzy godziny dostawała rosół. Trzeba będzie się zastanowić co dalej z nią robić.

Przysłuchujący się temu wszystkiemu Jakóbkiewicz, tylko kiwnął aprobująco głową. Zaraz potem dziecko wyprowadzono.

– Panie Józefie, będziemy i ją wywozić z Rosji? – spytał Francuz.

– Wie pan dobrze, że ewakuację dopiero planujemy. Pani Bielkiewiczowej wciąż nie udało się uzyskać wsparcia dla naszych planów, choć jeździ po świecie szukając pomocy. Może Japoński Czerwony Krzyż się ulituje, może Polonia amerykańska da jakiś grosz, a może i władze Polski przypomną sobie o dzieciach zesłańców. Noo, ale to wciąż tylko nasze marzenia, a ewakuacja to melodia przyszłości. Jeśli jednak uda się coś zdziałać, to Hanię z pewnością zabierzemy ze sobą. Przecież to polskie dziecko, sierota zapewne! Moim zdaniem dla ewakuacji stan psychiczny nie ma znaczenia, choć oczywiście w normalnych warunkach dziewczynka słabo nadawałaby się do dłuższych podróży. Póki co, trzeba leczyć, a przede wszystkim odkarmić…

***

Rozmowa z rodzeństwem, które przyjechało do Władywostoku w zdekompletowanym transporcie przypominała wiele innych które wcześniej odbywał Jakóbkiewicz.

– Jak się nazywacie?

– Oblęgorscy, Władek, Olek i Weronika – odezwało się najstarsze z dzieci.

– Chcecie więc do Polski jechać?

– My tam nie chcemy, tylko mama mówi, że wszyscy tu z głodu pomrzemy, a jak wyjedziemy to może i my przetrwamy i ona jakoś przeżyje…

– Tak źle w tym Chabarowsku? Co tam jedliście?

– Bywało, że nic przez dwa albo i trzy dni. Raz żeśmy w starych koszarach drewno na opał zbierali i w piecu znaleźliśmy zamarznięte kartofle – schował ktoś, czy co. Ale była z nich pyszna zupa! Inną razą, żeśmy psa obrabowali. Idziemy z bratem ulicą, a tu psisko takie wielkie, bernardyn chyba, bochen chleba w pysku niesie. Pewno skradł cwaniak z piekarni. Rzuciliśmy się na niego i dawaj gonić. Dał się zapędzić w ruiny, a tam obrzucaliśmy go czym popadło, gruzem jakimś, patykami. Od uciekania i ciągłego odskakiwania zziajał się i obślinił. Chleb mu w pysku rozmiękł i spora część bochenka na ziemię spadła. No to my wtedy na hurra do przodu. Pies zwiał zadowolony z tego co mu w pysku zostało, a my do domu resztę ponieśliśmy. A najgorzej to było jak mrozy przyszły i lody Amur ścięły – ryb nie dało się łowić. Wedy to się nawet i śnieg się jadło. Albo czaj kirpiczny…

– A co to za wynalazek, bo pierwsze słyszę?

– Cegła starta na proszek.

– Siniaki to skąd?

– Przez pomyłkę…

– Jaką znów pomyłkę?

– Sucharów chcieliśmy wyżebrać trochę, albo kaszę jakąś, czy mąkę, bośmy słyszeli, że bolszewicy wieczorem miasto zajęli. Tośmy z bratem nocą ze starej puszki wycięli gwiazdki, przyczepili do czapek, a rano ruszyliśmy do nich. Ledwie wyszliśmy na główną ulicę, a tu się zaraz jakiś oficer pokazał. Nawet zasalutować po bolszewicku nie zdążyliśmy, ani ust otworzyć, jak po pyskach dostaliśmy. Machnął raz i drugi – szeroko na odlew – aż się jucha z nosów polała.

I jak się nie wydarł na nas ten lejtnant – Wy swołocze czerwone, wy ścierwa bolszewickie! – tak krzyczał. Kopniaków też nie żałował i nie patrzył brzuch czy głowa. Okazało się, że nocą czerwoni opuścili miasto, a wkroczyli białogwardziści. Ot i taka pomyłka zaszła…

***

Świt był szary i niechętnie pełznął nad Władywostok, jakby go tu miała spotkać jakaś krzywda. Nie zdążył się jeszcze dobrze rozgościć nad miastem, gdy Jakóbkiewicz usłyszał na zewnątrz poruszenie, krzyki jakieś. Zarzucił coś na siebie i podszedł do okna – zobaczył krąg ludzi stojących bez ruchu przed stróżówką. Szybko włożył buty i wybiegł. Po chwili przepychał się przez spory tłum zgromadzony przed schroniskiem na Sedance. Ktoś łkał, ktoś mamrotał pod nosem przekleństwa, w powietrzu wisiał jakiś niepokój…

– Ludzie, co się tu dzieje, co to za zbiegowisko?! Przejście mi zróbcie! No co wy…

Zamilkł w jednej chwili. Zabrakło mu słów gdy zobaczył to nad czym stali od kilku, a może od kilkunastu minut. W zakrzepłej kałuży krwi leżała na śniegu głowa stróża Potapczuka. Twarz była wykrzywiona w jakimś przedśmiertnym grymasie bólu i przerażenia, oczy szeroko otwarte, a usta nienaturalnie rozchylone, jak w Munchowskim *Krzyku*. Na szyi, w miejscu gdzie głowa łączyła się z korpusem, widać było poszarpane ciało. Wyglądało to makabrycznie, jak gdyby ktoś oberżnął łeb stróżowi tępą piłą do drewna. Reszty ciała nie było. Powleczono je w stronę studni, co zdradzały ślady na śniegu i blednąca z każdym metrem czerwona smuga.

Jakóbkiewicz patrzył w stronę studni gdy nagle uświadomił sobie, że lada moment mogą obudzić się dzieci. Nie mógł pozwolić by zobaczyły tę scenę. One już dość się napatrzyły. Głowa pękała mu z bólu – ile jeszcze okrucieństw przyjdzie mu oglądać w tym kraju?! Najchętniej usiadłby na śniegu, skrył twarz w dłoniach i się rozpłakał nad losem swoim i dzieci, które los dał mu w opiekę. Jednak zamiast tego wysłał kogoś z tłumu po policję, a sam pobiegł do stróżówki po jakiś koc by zakryć upiorny widok. Potem czekała go wizyta na posterunku – trzeba było złożyć zeznania w sprawie tej bezsensownej śmierci. Było to stratą czasu, bowiem od dawna miejscowa policja nie podejmowała żadnych poważnych działań. Jak wszystko tutaj – trwała w zawieszeniu, w bezwładnym letargu.

Po kilku dniach wzmożonego szumu sprawy w sierocińcu wróciły w koleiny codzienności. Pojawiali się nowi lokatorzy, przybył się nowy stróż, zjawiały się nowe problemy i kolejne tematy do rozmów. Życie toczyło się dalej, nawet na Syberii….

***

Jakóbkiewicz wkroczył do jadalni, a Pierre Pipidgé posłał mu nostalgiczny uśmiech.

– Widzę, że pan jak zwykle w świetnym humorze. Nie ma pan zanadrzu szerszego uśmiechu?

– A w tym moim uśmiechu nie dostrzegł pan ani trochę optymizmu, doktorze?

– Dostrzegłem, owszem, dostrzegłem – cały kurhan optymizmu.

– Przepraszam. Jako lekarz pracujący z dziećmi powinienem zachowywać się inaczej, bo moje nastawienie emocjonalne może wpływać na proces leczenia. Ja jednak wciąż nie potrafię odrzucić własnego cierpienia i iść dalej. Nie wiem, czy w tym stanie ducha powinienem zajmować się leczeniem…

– Hola, hola – Jakóbkiewicz nie zamierzał pozwalać Francuzowi na pogrążanie się w rozpaczy, sam bowiem znalazł się zbyt blisko niej – proszę się tu nie roztkliwiać, tylko raportować.

– Wszyscy żyją i są w przyzwoitym stanie fizycznym. Leczymy ich. Tym co mamy…

– A jak psychika?

– Te dzieci mają po dziesięć, dwanaście, czternaście lat, a wiele z nich już żyje jak dorośli. Jak najgorsze wersje dorosłych. Niektóre z ulicy czerpały wzorce. Żeby przetrwać musiał się stać bezwzględne. Nie troszczą się o siebie wzajemnie, raczej wykorzystują się. Pomagają tylko wtedy, gdy im się to opłaci. Mam wrażenie, że są gorsze niż wataha wilków…

– Tak proszę nie mówić! Nie pozwalam! Nie są gorsi, przecież są ludźmi!

– A w czym źli ludzie są lepsi od wilków?

– Pierre, ja wiem, że skrzywdzono twoich najbliższych, że nie umiesz zapomnieć o stracie, ale pamiętaj, że my tutaj zajmujemy się dziećmi. Nie możesz ich oceniać tak surowo, bo…

– Panie Józefie, a pamięta pan zgwałconą ośmiolatkę?! Kto jej to zrobił, kto skatował ją niemal na śmierć?! Przecież to też były dzieci – trzynastoletni chłopcy! – Francuz na chwilę podniósł wzrok i spojrzał w oczy Jakóbkiewicza. Dostrzegł w nich bezdenną rozpacz. Zamilkł na chwilę, a gdy cisza już ułożyła się w powietrzu dodał:

– Miłość, życzliwość, dobro – tylko to może nauczyć te dzieci, że nie cały świat na nie dybie. One się muszą sto razy na własnej skórze przekonać, że istnieje inna rzeczywistość i bezinteresowni ludzie. Jestem przekonany, że jeszcze długo będą kąsać nawet ręce, które je karmią. Zrobię wszystko by były bezpieczne. Ale aby dobro mogło działać potrzebny jest spokój i czas. W tym kraju nigdy nie zaznają pierwszego, a drugiego wszyscy mamy chyba niewiele, bo bolszewicy szybko zajmują kolejne regiony.

– Ma pan rację, a moja reakcja na pańskie słowa to tylko troska i lęk o los tych biedaków. Jutro przyjadą kolejne dzieci, nie wiadomo jak bardzo doświadczone przez życie. Wiem, że jest nas za mało, ale przecież, ktoś musi im pomóc. Proszę powiedzieć, że podołamy… – westchnął ciężko i popatrzył w oczy Francuza. Ten zaś bez zastanowienia wziął go pod rękę i poprowadził do wyjścia mówiąc:

– Proszę pójść ze mną. Wiem, że jest pan zapracowany, że obowiązki czekają, ale proszę poświęcić mi tę chwilę. Chcę dać panu coś, co zostanie z panem na zawsze – a widząc wahanie Polaka, pociągnął go lekko za sobą.

– No już, to nie potrwa długo…

Zaprowadził go do ogrodu, w którym na kocach umościły się najmłodsze z przytułkowych dzieci. Kazał mu się położyć obok jednego z nich. Jakóbkiewicz ułożył się na plecach i zaczął się wpatrywać w to wielkie błękitne sklepienie nad Władywostokiem. Pomyślał, że choć jest piękne, to jednak nawet ono może być czasem zmęczone oglądaniem tego świata. A wtedy zasnuwa się ciężkimi ołowianymi chmurami. Uświadomił sobie jak bardzo jest zmęczony i mimowolnie pozwolił powiekom opaść. W ostatniej chwili świadomości usłyszał głosy dzieci. Maluchy leżące obok niego nazywały kształty jakie, ich zdaniem, przybierają obłoki sunące nad nimi:

– Piesek, kurka, żaglówka, pajda chleba, anioł…

Krzysztof Szkurłatowski

Pielgrzym

Albrecht usiadł wygodnie w fotelu i założył pasy na swoje ramiona. Spojrzał na pulpit na którym znajdowało się kilka pokręteł, dźwignia, kilka wskaźników i duży ekran. Pod nim była wysuwana klawiatura. Zapiął pasy. Szarpnął dwa razy klamrę aby upewnić się, że zapięcie mocno trzyma. Wcisnął duży zielony przycisk na pulpicie. Światło przygasło, a na ekranie monitora pojawił się ciąg znaków, symboli i komend. To ładował się system sterujący. Następnie uruchomił się program testujący systemy kapsuły. Trwało to około minuty. Albrecht wiedział, że taka jest procedura i niczego nie da się przyspieszyć. Czekając, kilka razy rzucił okiem na pomieszczenie w którym się znajdował. Miało kształt cylindra i ta w duchu je nazywał. Oprócz fotela i centralnej konsoli sterującej praktycznie niewiele się znajdowało. Nie było żadnych okien. Ściany były gładkie, w metalicznym kolorze. Drzwi wejściowe znajdowały się z tyłu za fotelem, a po obu jego stronach były schowki. W prawym znajdował się zapas żywności i wody, w lewym ubranie. Składało się ono z trzech części: cienkich lnianych spodni, nieco grubszej tuniki z rękawami i kapturem, długiej do samej ziemi oraz sznura do przewiązywania w pasie. Ostatnim elementem była wełniana, ciepła opończa, także z kapturem. Całość dopełniały skórzane sandały i kostur wystrugany osobiście przez Albrechta z drewna akacjowego.

Był tam też translator. Prawdziwe dzieło sztuki inżynierii elektronicznej. To cacuszko zostało zaprojektowane i wykonane osobiście przez Albrechta. Był to jeden z prototypów. Przedsiębiorstwo, którego Albrecht był założycielem i prezesem, zajmowało się projektowaniem mikroprocesorowych urządzeń komunikacyjnych. Translator był oczkiem w głowie jego wynalazcy. On je wymyślił, zaprojektował i wykonał. Czuł, że to przełomowy wynalazek, na którym kolejny raz zbije fortunę. To niewielkie urządzenie, które zakładało się za ucho, miało w sobie zapisane wszystkie współczesne języki, jakimi posługują się ludzie na ziemi, łącznie z tak egzotycznymi jak keczua, ewenkijski,

rotokas, hopi, czy silbo. Translator bezbłędnie rozpoznawał mowę, w czasie rzeczywistym tłumaczył ją na język jaki został zaprogramowany jako podstawowy dla użytkownika, po czym przekazywał go bezpośrednio do ucha. Najciekawsze było to, że użytkownik mógł odpowiedzieć, w ogóle nie otwierając ust. Elektroda przymocowana w odpowiednim miejscu czaszki, potrafiła bezbłędnie wychwycić myśli formułowane przez użytkownika translatora, przetłumaczyć je na wcześniej zasłyszany język i wygłosić męskim lub kobiecym głosem – w zależności od potrzeb. Umiejętnie zasłaniając translator oraz usta, wyglądało to tak, jakby człowiek mówił samodzielnie. Albrecht wiedział, że za to cudeńko armia, policja i wszystkie tajne służby zapłacą mu dużo pieniędzy. Być może zarobi na nim więcej niż spodziewał się zarobić na kapsule czasu, w prototypie której właśnie siedział.

Egzemplarz translatora który miał Albrecht, posiadał jeszcze jedną unikalną właściwość. Były na nim zainstalowane języki martwe, które od setek, a nawet tysięcy lat były nieużywane. Wymarły wraz z ludami które się nimi posługiwały. Wiele wysiłku włożył Albrecht w udźwiękowienie języków, które w większości są znane tylko z archiwalnych zapisków na papirusie, pergaminie, czy glinianych tabliczkach. Jaka była wymowa, intonacja, akcent, a nawet brzmienie poszczególnych sylab i fraz, nie było do końca pewne. Albrecht wykorzystał cały swój kunszt informatyczny i lingwistyczny aby opracować jak najbardziej prawdopodobne brzmienie wymarłych języków. Ale czy przewidział to trafnie? Jego niepewność w dużej części rozwiewała sztuczna inteligencja zaimplementowana w translatorze, która w czasie rzeczywistym potrafi słuchać i uczyć się nowych narzeczy, gwar i języków. Z tego cieszył się najbardziej, ponieważ nie był do końca pewien czy prawidłowo zaprogramował starohebrajski, akadyjski i aramejskiego. Z tym ostatnim językiem wiązał szczególnie duże nadzieje.

Sygnał dźwiękowy i świetlny dał znać, że ładowanie systemu zakończyło się. Kapsuła była sprawna i gotowa do startu. Albrecht wziął głęboki wdech, po czym zamknął oczy i powili wypuścił powietrze ustami. Jeszcze raz wstrzymał oddech na sekundę. Otworzył oczy i ponownie nabrał powietrza. Spojrzał na ekran, potem na klawiaturę. Lekko drżącymi rękami zaczął wprowadzać koordynaty. Wybrał miejsce i czas. Wyciągnął dłoń aby zatwierdzić cel podróży i wtedy po raz pierwszy się zawahał. Wiedział, że naciśnięcie klawisza „enter” uruchomi komendę, która na zawsze odmieni jego życie. Ba, może odmienić historię świata.

Jego przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Przed nim był skok w wielką niewiadomą. Albrechta nie martwiło to, że znajduje się w prototypowym urządzeniu, które za pomocą skomplikowanej technologii antygrawitację potrafiącej wywołać zjawisko zagięcia czasoprzestrzeni, jest w stanie przenieść się w dowolnie wybrane miejsce i czas na kuli ziemskiej. Nie martwiło go to, że urządzenie może zwyczajnie nie zadziałać, popsuć się, wybuchnąć, rozpaść na kawałki albo uwięzić go w pętli czasu z której nigdy się nie wydostanie. Zdał sobie sprawę, że bardziej boi się tego, że dotrze do wskazanego przez siebie miejsca i czasu.

− Cóż mam do stracenia? – pomyślał. – Tu i tak nic mnie nie trzyma, a tam…

Dłoń Albrechta opadła. „Enter" został wciśnięty. Koordynaty zostały zatwierdzone. Urządzenie zaczęło działać. Albrecht zamknął oczy. Słyszał tylko lekki szum i wyczuł delikatne wibracje. Po chwili wibracje ustały, a szum brzmiał coraz wyższym tonem. Otworzył oczy i wbił wzrok w ekran przed sobą. Czuł niepokój. Serce biło jak oszalałe, a oddech stawał się coraz szybszy. Emocje brały górę. W końcu niewielu ludzi miało okazję stanąć twarzą w twarz z…. Tego słowa nie potrafił jednak wymówić, nawet w myślach. Naszły go wątpliwości. Czuł że jego umysł zaczyna ogarniać szaleństwo ale wiedział, że powrotu już nie było. Na ekranie cały czas znajdowały się koordynaty które określały cel jego podróży. Rok 31 naszej ery, Galilea, północny brzeg jeziora Genezaret, około dwa kilometry na wschód od Kafarnaum. Albrecht miał wrażenie, że całe jego życie przemyka mu przed oczami, jak film na przyspieszonych obrotach. Zaczął odczuwać dreszcze. Serce łomotało mu w uszach. Z całych sił zacisnął pięści, a po chwili głowa bezwładnie osunęła mu się na pierś. Wpadł w stan podobny do omdlenia i częściowej utraty świadomości. Zapadł w coś w rodzaju snu, w którym jego mózg nie reagował i nie rejestrował bodźców zewnętrznych. Za to z pamięci intensywnie wracały wspomnienia..

− Jak się czujesz kochanie? – delikatnie wyszeptał.

- A jak się może czuć osoba podłączona do aparatury podtrzymującej życie, która wie, że to tylko kupowanie odrobiny czasu? – odpowiedział cicho Boel – Ale gdy cię widzę, to od razu lepiej − dodała lekko się uśmiechając.

− Masz rację, głupie pytanie – odpowiedział Albrecht przystawiając krzesło obok łóżka. Usiadł i przez chwilę wpatrywał się w milczeniu w Boel.

– Wiesz, moja wędrówka dobiega końca. Oboje wiemy że mój czas się kończy. Trochę żałuję, że pewnych rzeczy już razem nie zrobimy ale cieszę się, że tyle innych przeżyliśmy razem i nieźle się przy tym bawiliśmy…

Albrecht już otworzył usta ale Boel delikatnie podniosła rękę dając mu znak aby zamilknął.

– Jestem już bardzo słaba… i zmęczona. Chciałabym ci jeszcze tyle rzeczy powiedzieć… Tyle togo… Chcę abyś zapamiętał że cię kocham i nie żałuję ani sekundy z naszego życia. Nie obwiniaj się. Nie rozpaczaj. Ludzie są tylko zbiorem molekuł, które czasem się psują. Tak jak każda maszyna. Nie doszukuj się w tym złośliwości Pana Boga. On nie siedzi sobie w niebie i nie planuje: a teraz ześlę na Boel nowotwór kości. Bardzo trudny do wykrycia i nieuleczalny. On nie ma z tym nic wspólnego. Czasem tak się po prostu dzieje… – przerwała zmęczona robiąc dłuższą pauzę.

Albrecht chwycił delikatnie żonę za rękę i czuł jak łzy napływają mu do oczu. Tymczasem Boel emanowała spokojem i dostojnością. Na jej ustach można było dostrzec lekki uśmiech. Zaległa cisza, przerywana tylko bardzo wolnym, miarowym pikaniem kardiomonitora. Częstotliwość pikania stawała się coraz wolniejsza. Boel przymknęła oczy. Albrecht zbierał się w sobie aby coś powiedzieć ale nie był w stanie. Po chwili Boel spojrzała na niego.

– Nie smuć się. Zachowaj tylko te radosne wspomnienia. Nie rozpaczaj, żyj. Nie chcę abyś się zamartwiał. Nadszedł czas abyśmy zakończyli naszą wspólną przygodę. Czas abyś rozpoczął nową. Własną i samodzielną. A ja będę cię obserwować. Jeśli będziesz potrzebował pomocy, zjawię się. – Uśmiechnęła się po raz kolejny i zrobiła pauzę. – Za jakiś czas znowu się spotkamy, a wtedy będziemy mieli wiele rzeczy do obgadania. I bardzo dużo czasu…

Boel ponownie zamknęła oczy. Jej oddech stawał się coraz płytszy. Pikanie na kardiomonitorze stawało się coraz wolniejsze. Albrecht wiedział co to oznacza. Pochylił się nad Boel i pocałował ją w usta. Nachylił się do jej ucha i wyszeptał.

– Żegnaj żono…

Usiadł na krześle z opuszczoną głową. Otarł łzy. Wyprostował się i spojrzał na Boel. Nie dostrzegł jej oddechu. Kardiomonitor także przestał pikać. Zaczął wydawać tylko długi, przeciągły i niski dźwięk. Albrecht usłyszał jakiś szum za drzwiami pokoju. Wiedział, że za chwilę wpadnie do środka lekarz i pielęgniarka,

którzy podejmą reanimację. Wiedział, a raczej czuł, że to niczego już nie zmieni. Zanim drzwi się otworzyły spojrzał na swoją żonę i powiedział:

– Nie zostawię tego tak. Muszę wiedzieć dlaczego i muszę spróbować…

Wstał dokładnie w tym samym momencie, w którym do izolatki wpadli medycy. Odsunął się na bok, robiąc im miejsce i powoli wyszedł.

− Koniec podróży, cel osiągnięty – ten komunikat dźwiękowy wybudziły Albrechta ze snu. Przez chwilę zastanawiał się gdzie jest. Dzikim wzrokiem rozejrzał się dookoła. Uspokoił oddech i spojrzał na ekran przed sobą. Galilea, 31 r. n.e. – No to do roboty - mruknął. Rozpiął pasy i wstał z fotela. Odruchowo spojrzał na zegarek ale zaraz uśmiechnął się z politowaniem. Przecież właśnie cofnął się w czasie, a w związku z tym sprawdzanie która jest godzina, nie miało żadnego sensu. Najważniejsze, aby podróż się udała. Dopóki nie wyjdzie na zewnątrz, nie przekona się, czy dotarł tam gdzie chciał. Chwilę postał, po czym przeszedł na tył pomieszczenia, gdzie było wyjście. Otworzył szafkę z ubraniem. Spojrzał i na moment się zawahał. Wrócił do konsoli i uruchomił kamery zewnętrzne. Po chwili obraz pojawił się na monitorze. Albrecht przyglądał mu się uważnie. Analizował obraz z każdej kamery po kolei. Szukał jakichkolwiek oznak cywilizacji – zabudowy, pól uprawnych, czy śladów pozostawionych przez ludzi. Niczego nie zauważył. – Może i dobrze? – pomyślał. − Lepiej nie rzucać się w oczy. Krajobraz wygląda chyba w porządku. Roślinność też taka, jaka być powinna…

Wyłączył monitor o poszedł się przebrać. Zamontował translator nad uchem, przytwierdził elektrodę i okrył twarz kapturem, który szczelnie zasłonił mu prawie całą twarz. Ujął kostur w prawą rękę, a lewą otworzył właz. Do cylindra wdarło się świeże powietrze pachnące trawą i ziołami. Było trochę wilgotne i raczej chłodne. Albrecht przymrużył lekko oczy i zeskoczył na ziemię. Słońce właśnie wschodziło, łagodnie oświetlając okolicę. Rozejrzał się. Na południu dostrzegł wzniesienie z rzadka porośnięte drzewami. – To będzie tam – powiedział do siebie i ruszył w tę stronę.

Idąc, uważnie się rozglądał. Nie był pewien, czy nie zaskoczy go jakiś człowiek, lub jakieś dzikie zwierzę. Słońce powoli wspinało się w górę, przez co robiło się coraz cieplej. Po kilkunastu minutach Albrecht dotarł do wzgórz. Wybrał największe z nich i zaczął piąć się w górę. Na szczęście były to stosunkowo nieduże pagórki z łagodnym podejściem, tak że nawet się nie zasapał.

Gdy stanął na szczycie rozejrzał się dokładnie. Zauważył w oddali jakąś osadę. Odległość ocenił na trzy kilometry. Osada, a raczej wioska, leżała u podnóża kolejnych wzgórz, tym razem wyraźnie wyższych niż to na którym stał. Wydawało mu się, że obok nich coś się błyszczy. Jakby rzeka lub jezioro.

– Genezaret… - mruknął.

Wchodząc do wioski Albrecht uważnie rozglądał się na lewo i prawa. Był poddenerwowany i niepewny. Dopiero teraz zaczynał się bać, czy aby translator zadziała. Zaczął też sobie układać w głowie co powinien powiedzieć, do kogo się odezwać, a do kogo nie. Uznał, że musi także wymyśleć sobie jakieś imię, przecież nie będzie się przedstawiał jako Albrecht.

– Niech będzie Izmael syn Nataniela, a potem to jakoś pójdzie – pomyślał.

– Szalom alejchem – powiedział do chłopca który przy studni poił kozy.

– Alejchem szalom – odpowiedział chłopiec, patrząc się podejrzliwie na obcego.

– Jestem Izmael syn Nataniela. Przybywam z Apamei. Dotarły bowiem do nas wieści o nauczycielu, który mówi o zbawieniu dla Izraela i wszystkich ludzi dla których Jahwe jest jedynym bogiem. Chciałbym go zobaczyć i usłyszeć. Czy słyszałeś o nim chłopcze? – pomyślał nieco zdenerwowany Albrecht. Na szczęście translator zadziałał bez zarzutu.

– Zapewne mówisz o Galilejczyku imieniem Jezus, synu Józefa, który chodzi po Judei i Galilei. Niektórzy uważają go za Mesjasza.

Albrecht ucieszył się z usłyszanej odpowiedzi. Nie dość, że chłopak nie zauważył że rozmawia z człowiekiem z innego czasu i cywilizacji, to jeszcze nie spostrzegł, że to nie przybysz mówi, tylko małe pudełko przy jego uchu. Albrecht zauważył także, że chłopiec mówi po aramejsku w sposób jaki dla translatora nie stanowi żadnego wyzwania. To go uspokoiło.

– Czy wiesz, gdzie go znajdę?

– O, tam – powiedział chłopiec odwracając się i wskazując ręką duże wzniesienie za wioską, u podnóża którego znajdowało się jezioro. – Tuż przed wschodem słońca mężczyźni poszli nad jezioro aby posłuchać Nauczyciela. Jak się pospieszysz, to ich dogonisz, panie.

– Jak cię zwą?

− Jestem Joram syn Beniamina z rodu Naftalego.

− Dziękuję ci Joramie synu Beniamina – powiedział Albrecht i ruszył w kierunku wskazanym przez chłopca.

Do podnóża góry prowadziła ścieżka wijąca się nad brzegiem jeziora. Droga była łatwa. Początkowo Albrecht szedł sam, ale w miarę upływu czasu zaczął doganiać inne osoby. Każda z nich zwracała się do niego z pozdrowieniem, a i on wszystkich pozdrawiał. Im bliżej był góry, tym coraz więcej osób mijał na ścieżce. W końcu było ich tyle, że musiał zwolnić. Ścieżka była dosyć wąska i nie było jak mijać tłumów. Idąc wolniej, Albrechta zaczęły nachodzić wątpliwości.

− Przecież on jest wszechmocny i wszechwiedzący. Powinien wiedzieć z czym i po co przychodzę do niego. A jeśli to tylko zwyczajny oszust? – Tak rozmyślając nawet nie zauważył, że droga skręciła pod górkę. Targany myślami zaczął się denerwować. Czy godzi się rzucać wyzwanie samemu Bogu? Czuł, że pot zaczyna ściekać mu po całym ciele. Zaczął się bać.

Wraz z tłumem stanął kilkadziesiąt metrów od szczytu. Dalej nie dało się iść. Próbował przecisnąć się ale było tak gęsto, że nie był w stanie. Nagle wszyscy zaczęli siadać na ziemi, wiec i on usiadł. Wtedy zobaczył, że na szczycie góry znajduje się kilka głazów, a na jeden z nich wspiął się jakiś mężczyzna, który zaczął przemawiać do tłumu. Odruchowo wytężył słuch, ale zaraz uświadomił sobie, że to translator musi dobrze odbierać głos mówcy, ponieważ tylko wtedy przetłumaczy mu słowa mężczyzny. Wszyscy wokoło zamilkli.

− Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem tacy będą pocieszeni. Za wszystko co spotka was w życiu dziękujcie, bowiem taka jest boża wola względem nas. Dziękuj za wszystko, co jest dobre i za wszystko, co wydaje ci się złe albowiem Bóg we wszystkim współdziała ku dobremu z tymi, którzy Go miłują. Jeżeli o cokolwiek Boga prosisz, to proś z wiarą i bez powątpiewania, bo ten kto wątpi nic od Pana nie otrzyma. Bóg nie ma względu na osobę ani nie przyjmuje darów. Sprawiedliwie traktuje sieroty i wdowy. Miłuje obcego przybysza, dając mu chleb i odzież.

Na te słowa Albrecht znieruchomiał. – On mówi do mnie? A może o mnie? − Głębiej nasunął kaptur na głowę i słuchał dalej.

− Jeżeli nie usłuchasz głosu Pana, Boga twego i nie będziesz spełniał jego przykazań, to Pan porazi cię obłędem, ślepotą i przytępieniem umysłu. Dlatego

poczytuj to sobie za najwyższą radość, gdy przechodzisz rozmaite próby. Błogosławiony mąż, który wytrwa w próbie, bo gdy przetrzyma próbę, weźmie wieniec żywota, który Bóg obiecał tym, którzy go miłują.

Albrecht zamyślił się głęboko. Wspomniał Boel. Rozmyślał o tym, co od niej usłyszał gdy była chora, a później umierająca. Zaczął przypomina sobie ich wspólne rozmowy i czuł jak ogarnia go żal i niemoc. O czym dalej mówił mężczyzna, tego nie zapamiętał. Gdy słońce było w zenicie wszyscy zaczęli się podnosić i powoli zmierzać na powrót do wioski. Ruszył i on. Zasępiony i zamyślony. Przypomniał sobie, że przecież przybył tu, aby stanąć twarzą w twarz z Jezusem i porozmawiać z nim. Miał naiwną nadzieję, że przekona, wyprosi albo wybłaga u Boga łaskę życia… Na tę myśl zaśmiał się gorzko w duchu nad swoim dziecinnym pomysłem. Nie próbował nawet odszukać Nauczyciela. Podążał z innymi do wioski. Idący obok niego ludzie żywo rozmawiali. Zewsząd dochodziły Albrechta podniesione głosy. Widać było gorączkową gestykulację. Translator tłumaczył mu duże fragmenty zasłyszanych rozmów z których wynikało, że Nauczyciel wywarł na Galilejczykach olbrzymie wrażenie.

Po przybyciu do wioski, ludzie niespiesznie rozchodzili się do swoich domów. Albrecht minął wioskę i ruszył na północ, drogą którą dotarł tu ranem. Czuć było skwar. Wrażenia tego dnia dały mi się we znaki. Czuł znużenie i pragnienie. Do swojej kapsuły miał jeszcze kawał drogi. Przystanął i rozejrzał się dookoła. Wioska była już za daleko, żeby do niej wracać na odpoczynek. Poza tym, Albrecht nie miał nikogo spotykać. Zauważył za to na wschodzie coś, co przypominało mu studnię. Przyłożył dłoń do czoła oby osłonić się od słońca i uważnie przyjrzał się. Tak, to była studnia i żuraw do czerpania wody, wokół którego rosły krzewy i kilka niskich drzew. Postanowił tam pójść, napić się wody i trochę odpocząć w cieniu.

Gdy był już blisko zauważył młodą kobietę, która czerpała wodę i wlewała ją w kamienne koryto. Przy nim zebrało się stadko owiec. Albrecht trochę się zdziwił, ponieważ wydawało mu się, że w tamtych czasach wypasaniem trzody zajmowali się tylko mężczyźni. Nie dał jednak po sobie niczego poznać i podszedł bliżej.

− Witaj Panie. Czy jesteś spragniony? Chciałbyś odpocząć? Jestem Estera córka Barnaby z rodu Zebulona.

− Jestem podróżnikiem w tych stronach. Nazywam się Izmael. Jestem synem Nataniela. Chętnie ugaszę pragnienie.

Kobieta nalała wody do dzbana i podała. Albrecht pił. W tym czasie Estera dalej czerpała wodę i wlewał do koryta. Albrecht wypił, wytarł dłonią usta i odstawił dzban. Usiadł na ławie obok studni, Wzrok wbił w ziemię i zamyślił się. Był nieco znużony.

− Czy wracasz ze spotkania z Nauczycielem, Izmaelu synu Nataniela? Słyszałam, że u stóp Góry Błogosławieństw opodal Kafarnaum miało się odbyć spotkanie. Moi bracia tam poszli i pewnie zatrzymali się u krewnych we wiosce, bo jeszcze nie wrócili. Ojciec zatem mnie wysłał aby napoić owce.

− Tak, byłem tam – powiedział Albrecht wyrwany z zamyślenia. – To wyjątkowy człowiek. Mówi tak, że… trudno zebrać myśli.

− Też chciałam pójść i posłuchać go, ale kobietom nie przystoi brać udziału w zgromadzeniach. Słyszałam, że Nauczyciel to święty człowiek. Sam Jan, pustelnik znad Jordanu, uważa go za Mesjasza…

− To święty człowiek…

− Mówią, że niesie dobrą nowinę. Że pokazuje każdemu drogę do Boga. Pociesza strapionych, radzi wątpiącym, uzdrawia chorych. Każe miłować nawet nieprzyjaciół. Podobno mówi, że człowiek pobożny to ten, który umie znieść przeciwności na które wystawia go Bóg. To ma nas umocnić w wierze, abyśmy zawierzyli całym sercem Panu. Bóg, wystawiając nas na próbę, daje nam jednocześnie siłę do jej pokonania. Podobno mówi także, żeby za wszystko należy dziękować Bogu, bo taka jest Jego wola. Za wszystko co jest dobre i za wszystko, co wydaje się złe, ponieważ Bóg we wszystkim współdziała ku dobremu z tymi, którzy Go miłują.

− Tak, tak, słyszałem.

− Gdy zmarł mąż, bardzo rozpaczałam. Obwiniałam Boga o sprowadzenie choroby. Składaliśmy ofiary całopalne w świątyni, prosząc o jego wyzdrowienie i ofiary przebłagalne za grzechy, ale Bóg nie wysłuchał próśb. Wiem, że mój mąż jest teraz u Boga i patrzy na mnie. Za jakiś czas znowu się spotkamy. Będziemy mieli dla siebie całą wieczność. Nauczyciel mówi, że to co nas spotyka, pozwala nam stawać się lepszymi. Każdy ma swój czas dany od Boga i powinien go

przeżyć w ufności. Pan, jak dobry ojciec, wesprze nas i pocieszy w chwili zwątpienia.

Albrecht siedział i słuchał tego co mówi Estera. Zdumiał się jej mądrością i przenikliwością. Tymczasem kobieta skończyła poić owce i zaczęła zaganiać stado, cały czas mówiąc do przybysza.

− Bóg jest miłosierny i litościwy. Nie rzuca na nas ciężaru, którego nie będziemy w stanie unieść. Wystawiając nas na próbę, chce abyśmy mu zaufali. Wtedy pomoże nam przejść przez nią, nie tracąc wiary. Tak było z Hiobem. Przez doświadczenie, człowiek pobożny poznaje Boga osobiście. Nasz Ojciec wie, czego potrzebujemy, zanim o to poprosimy. Zawsze daje nam to co jest dla nas najlepsze, nawet jeśli myślimy, że spotyka nas nieszczęście.

Albrecht nic nie odpowiedział. Wstał, podziękował za wodę i zbierał się, aby ruszyć w swoją stronę. Słowa Estery dały mu do myślenia. Kobieta pożegnała go i zaczęła oddalać się wraz ze swoim stadem. Albrecht zawołał:

− Estero, jesteś mądrą kobietą. Czy słuchasz i wierzysz w nauki Nauczyciela?

− Mówiła mi o nich moja matka. Gdy jeszcze żyła, wraz ze swoim mężem, a moim ojcem, szli za Nauczycielem, gdy przebywał on w Judei.

− Miałaś bardzo mądrą i bogobojną matkę.

− Zwała się Boel – zakrzyknęła Estera, oddalając się ze swoimi owcami. Wkrótce jej sylwetka zniknęła za krzewami.

Albrecht na kilka chwil stanął w bezruchu. Spojrzał w górę, na chmury płynące po niebie. – Dziękuję – wyszeptał i uśmiechnął się. – Do zobaczenia.

Tomasz Magulski

I nagroda w kat. młodzieży

Nowy początek

Wazon suszu, kwiatów i traw, stojący na małej, starej komódce przy oknie, skrępowany został jej wzrokiem. Uwagę kobiety zwróciły płatki hortensji koloru amarantowego, które w jej wyobraźni tańczyły po cienkich ściankach naczynia. Tak delikatnie muskały krawędzie dzbanuszka, jakby bały się, że gdy pozwolą żywiołowi sobą zawładnąć, podmuchem pokruszy wazonik na milion kawałków. Przeniósłszy wzrok na filiżankę, wyciągnęła rękę w jej stronę. Jednakże, gdy spojrzała we wnętrze porcelany, nie było w niej kawy, której goryczy pragnęła doznać. Zabrała rękę, kładąc ją na kolano. Przyglądała się, jak ostatnie krople czarnego przysmaku wsiąkają w fusy, jak znikały w głębi, kryły się przed nią. Pragnienie dalej wzrastało. Zalewało ją pożądanie, którego nigdy nie będzie mogła już zaspokoić. Od kilku dni zadawała sobie pytanie, czy cokolwiek na świecie jest w stanie zagłuszyć głuchość jej serca? Wszystko było bez znaczenia, nie miało większego sensu. Nie potrafiła cieszyć się z promieni słońca palących jej twarz. Nie umiała wsłuchać się w melodię ptaków, do której zawsze tak lubiła tańczyć. Teraz ciemność i głuchość były jej atrybutami.

Krople deszczu spadając z szaroburego nieba, kończyły swój lot na balustradzie tarasu, wydając przy tym dźwięk, jakby wołały do mieszkanki domku słowami pożegnania. Jedna, druga, trzecia… wszystkie leciały w tę samą stronę razem, ale osobno, samotnie.

Wstała, aby zamknąć okno. Przysłoniła je grubymi, długimi zasłonami. Nie chciała patrzeć na ten świat. Choć był zalany łzami chmur, miał w sobie coś magicznego. Coś, co rozświetliłoby jej duszę, a tego właśnie chciała uniknąć. Wróciła na sofę, położyła głowę na podłokietniku. Otuliła się kocem. Kiedy była mała, uwielbiała zatapiać się w jego cieple. Posłusznie kładła się do łóżeczka, a babka Jadwiga czytała jej bajki. Najbardziej lubiła Jasia i Małgosię, Calineczkę. Gdy w baśni miały miejsce przerażające sceny, mała Marysia chowała głowę pod kocyk, a babcia siadała na krawędzi łóżka, pocieszając wnusię, że zło jest tylko

chwilowe, a po burzy wychodzi słońce. Zawsze powtarzała słowa o tym, że nie należy tracić nadziei.

Maria jeszcze chwilę zastanawiała się, jak dokładnie brzmiało zdanie, które babka wypowiadała, przytulając wnuczkę do piersi. Nie mogła sobie przypomnieć. Nie będzie zaprzątała sobie tym głowy. Nie ma na to nawet siły. Od kilku dni nie zmrużyła oka. Zmęczenie i brak sił po codziennej rozpaczy znużyły ją.

Spała kilka godzin. Jak tylko otworzyła oczy, usiadła na kanapie. Rozejrzała się po wnętrzu pokoju, jakby czegoś… kogoś szukała. Na wyświetlaczu telefonu widniało powiadomienie o kilkunastu nieodebranych połączeniach. Niechętnie wybrała numer i po kilku sygnałach usłyszała głos rodzicielki. Nie rozmawiały długo, Maria nie była w nastroju do rozmów.

– Kochanie, wiem, że nie chcesz, żebym przyjechała, ale muszę wiedzieć, co się z tobą dzieje.

– Wszystko ze mną w porządku. Nie mogę teraz rozmawiać.

Rozłączyła się. Po chwili tego pożałowała. Pomyślała, że głupio zrobiła, przerywając połączenie. Krótkie rozmowy nie satysfakcjonują jej matki. Ta zacznie się martwić i, nie daj Bóg, przyjedzie ją pocieszać. Nie potrzebuję pocieszenia, a świętego spokoju od nich wszystkich – powtarzała.

Poszła wziąć prysznic. Ubrania rzuciła w kąt. Stojąc w kabinie, odkręciła zimną wodę i pozwoliła jej obmyć swoje ciało. Stała nieruchomo, odchylając głowę do tyłu tak, aby strumienie wody uderzały w jej zmęczoną, szarą twarz. Czuła się najgorzej na świecie. Krople wody na jej szyi i dekolcie płynęły zdrojami razem ze łzami. Płakała jak małe dziecko. Czuła się niepotrzebna, nic nie warta, niczyja… Kiedyś jej usta drżały na myśl, że zaraz spotkają się z ustami jej ukochanego, teraz drżą z żalu i bólu. Kiedyś dostawała gęsiej skórki, kiedy jego silne dłonie delikatnie muskały ją po plecach, teraz odczuwa chłód samotności. Uwielbiała, kiedy bawił się jej włosami, kiedy ją obejmował, przyciągał do siebie i patrząc na nią swoimi dużymi głęboko – błękitnymi oczami, szeptał do ucha, jak bardzo ją kocha. Osunęła się na ściance brodzika i zaczęła rzewnie płakać. Krzyczała, wołała go po imieniu z nadzieją, że za chwilę stanie w drzwiach. Kiedy uświadomiła sobie, że to nic nie da, że on nie wróci, wpadała w szał i jeszcze bardziej płakała. Jej serce było rozerwane na miliony kawałków. Wyszła z łazienki i rzuciła się na łóżko. Krople wody spływały z jej mokrego

ciała, wsiąkając w prześcieradło. Podparła się na łokciu i popatrzyła na stronę, po której spał. Jeszcze kilka dni temu, wieczorem, położyli się do łóżka, on patrzył na nią ze łzami w oczach i powiedział: tak bardzo Cię kocham, jesteś moim życiem. Marysia znów zalała się łzami. Wtuliła się w jego kołdrę, jeszcze czuła jego zapach, jego perfumy. Jesteś moim życiem – powtórzyła. Ta myśl niedawana jej spokoju. W obliczu śmierci wszystko straciło sens.

***

– Siedem, osiem, dziewięć i… dziesięć. Szukam!

Dziewczynka siedziała przy drzewie otulona liściastymi gałązkami, opadającymi na jej plecy. Cień muskał jej delikatną twarzyczkę. Usłyszała szelest tam wysoko w koronach drzew. Wstając, przyglądała się jednej z gałęzi. Coś dostrzegła, nie wiedziała, co to mogło być. Nagle owoc spadł pod jej nóżki, a zaraz za nim z jabłoni zeskoczyła wiewiórka. Przyglądała się z zaciekawieniem dziewczynce, nie uciekła. Ciemnowłosa kochała zwierzęta, a one kochały ją. Przedstawiła się nowej przyjaciółce, jak przystało na prawdziwą damę, zapytała się, jak często bywa w tych stronach, ale znajoma nie była dość rozmowna.

– Znalazłam! Mam Cię!

Marysia odwróciła się i dostrzegła zbliżającą się babcię. Natychmiast udała się w pościg, krzycząc za siebie, że teraz zmieniają zabawę, pora na „berka". Dziewczynka śmiała się, dyszała ze zmęczenia, ale nie traciła sił w małych nóżkach. Biegła przed siebie. Trafiła na polanę usłaną najprzeróżniejszymi kwiatami. Stokrotki, maki, chabry i… te takie malutkie, niebieskie. Jak się nazywały? Zanim zdążyła wytężyć pamięć, poczuła ramiona babci, które oplotły ją jak gałęzie powoju. Marysia szeroko uśmiechnęła się do swojej opiekunki. Seniorka chwyciła dłoń dziewczynki i pociągnęła delikatnie na znak, że ma iść za nią. Przedzierały się między drzewami, krzakami, przechodziły przez rzeczkę po konarze drzewa, aż w końcu doszły do uroczego miejsca. Dla małej Marysi miejsce to było niczym kraina czarów, jeszcze piękniejsza niż w bajce o wszystkim znanej Alicji. Czytały tę opowieść z babcią poprzedniego wieczora. Panie weszły w sam środek ptasiego koncertu, który odbywał się na gałęziach drzew okalających małe jeziorko. Woda była przejrzysta, czysta, przezroczysto – niebieska, ozdobiona liliami wodnymi i pojedynczymi listkami pływającymi po powierzchni tafli.

Kiedy babcia zaproponowała, aby wracały do domu, wnuczka prosiła ją, aby dała jej jeszcze chwilę. Chciała zapamiętać to miejsce najlepiej, jak mogła, każdy szczegół, jakby już nigdy nie mogła tu wrócić, jakby wyjście stąd wiązało się z zamknięciem czarodziejskich drzwi do tego świata.

Wracając do domu, z daleka słyszały delikatny kobiecy głos. To mama Marysi wołała, że już czas do domu. Dziewczynka uwielbiała przyjeżdżać do babci, do jej domku ukrytego głęboko w lesie. Do miejsca malowniczego, pięknego, magicznego… Nie lubiła miastowego zgiełku, pokoju pełnego nowoczesnych zabawek. Wolała być tutaj, w krainie, o której, mogłoby się zdawać, już dawno zapomniano. Jadwiga dostrzegła grymas, jaki pojawił się na twarzyczce wnuczki. Obiecała jej, że zawsze będzie mogła tu przyjeżdżać, że tutaj jest jej dom.

Marysia, a właściwie Maria, jako już dorosła kobieta, ucieszyła się jak małe dziecko, kiedy otrzymała klucze do chatki babci. Ta pozwoliła jej zamieszkać w krainie z dzieciństwa, a sama chciała spróbować czegoś nowego i przeprowadziła się do dużego miasta. Młoda kobieta nie mogła uwierzyć, że kiedyś będzie mogła, tak jak jej babcia, wprowadzić swoje potomstwo w ten pełen bajki i magii świat, budzić się każdego dnia w miejscu, gdzie jest tak szczęśliwa, założyć wielką rodzinę, z którą każdego ranka będzie witała nowy dzień na werandzie.

***

Nie mogła usiedzieć w jednym miejscu. Wokół niej było jeszcze tyle rzeczy należących do jej zmarłego męża. Jego kosmetyki, ubrania, w kącie salonu stała jego gitara, którą najpierw stroił, a potem grał i śpiewał dla niej, gdy siedzieli na oświetlonym lampionami tarasie. Ona zamykała oczy, jakby chciała bardziej wsłuchać się w rytm muzyki i ciepły głos męża.

***

– Kiedy szarpnąłem pierwsze struny, ona od razu wiedziała, jaki utwór przygotowałem na ten wieczór. Ten utwór jest dla nas nadzwyczaj ważny. Mówi o historii dwojga zakochanych ludzi, którzy nie widzą poza sobą świata, którzy planują wspólną przyszłość, a każda chwila spędzona osobno, jest dla nich udręką. Kiedy się poznaliśmy, tak, pamiętam to jak dziś, pamiętam wieczór, kiedy pierwszy raz ją ujrzałem i zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Jeszcze jej nie znałem, a już wiedziałem, że jest to miłość mojego życia. Była taka piękna, delikatna, ale stanowcza zarazem. Rozmyślałem o niej całe dnie, bo, oczywiście,

nie podszedłem do niej wtedy, bałem się, że mnie odtrąci. Kilka dni później znów ją zobaczyłem, kiedy jechałem samochodem. W radio leciała ta sama piosenka. Tego dnia pogoda dawała się we znaki. Było szaro, ponuro, ale ona, ta jedyna, rozświetlała mroki świata. W strasznej ulewie czekała na taksówkę. Tym razem podszedłem do niej, zaproponowałem kubek ciepłej herbaty w kawiarni obok. Ona opowiedziała mi, że została okradziona, nie miała portfela, dokumentów, nic. Z rozmowy wyniknęło, że również mnie kojarzy z tamtego wieczoru. Jaki byłem szczęśliwy! Przecież powiedziała mi tylko, że mnie widziała, a ja zacząłem cieszyć się jak dziecko. Od tego czasu zaczęliśmy się spotykać. Często słuchaliśmy piosenki, która w pewien sposób nas połączyła. Nasz pierwszy taniec również zatańczyliśmy do tej melodii. Teraz grałem dla niej. Ona przymykała co chwilę oczy, kiedy szarpałem za kolejne struny, a ja wpatrywałem się w nią znów zakochany jak nastolatek. Z wdzięcznością patrzyłem na moją największą miłość, patrzyłem i dziękowałem za to wszystko, co dla mnie zrobiła. Moja wdzięczność wyrażała także świadomość, ze szczęśliwie dane mi było ją poznać. „Nasza piosenka" była o miłości tragicznej, o rozstaniach i powrotach, łzach szczęścia i smutku, o życiu i śmierci. Choć tak lubimy razem nucić pod nosem jej słowa, już wówczas wiedziałem, że nigdy nie będą opowiadać o nas. Na zawsze razem, nic nas nie rozłączy...., to nie było o nas....

***

Zatopiona w smutku, ogłuszona dźwiękiem ciszy, nieczuła, zimna, pusta… Taką właśnie się czuła. Nie miała ani potrzeby, ani siły, by żyć, oddychać. Po co budzić się każdego ranka? Po to, aby toczyć wojnę z tym światem? Niemożliwą, krwawą, daremną… Bez znaczenia. Czuła, że jej oczy są takie suche, nie mogą już uronić ani jednej łzy. Łzy nieszczęścia, bezsilności. Łzy, która miała być ukojeniem, zapomnieniem, a była jednak kolejnym ciosem zadanym w jej krwawiące serce. Usta… Usta, które więdły. Suche, smutne, blade. Włosy, niegdyś miękkie, puszyste, delikatne, teraz szare, rzadkie. Życie, którego ścieżka była usłana płatkami róż, życie, tamto życie, kiedy unosiła się nad ziemią, nie mając skrzydeł, stało się przeszłością. Miłość, tak, miłość ją unosiła. A on, ten jedyny, tańczył razem z nią w pierzynie chmur. Słońce raziło ich w oczy. To był niezwykły blask. Może jednak bił od niego, może to nie słońce? Tak bardzo zaślepiał ją. Ona walczyła jednak, by dostrzec tę twarz, piękne oczy wpatrujące się w nią. Hipnotyzował ją wzrokiem, nic nie było ważne, tylko ta chwila. Marzyła, żeby się nie kończyła. Ten uśmiech, tak go kochała.

Nie mogła uronić ani jednej łzy, ani jednej…

Minęło wiele czasu od… straty. Nie będzie mówiła o śmierci. Śmierć jest przecież nieodwracalna, dzieli na zawsze. Sprawia, że człowiek czuje pustkę w miejscu, które kiedyś zajmował ktoś ważny. Osoba, której już nie odzyska, nie zobaczy, której nie wyzna swych uczuć. Strata jest doświadczeniem niemalże równie bolesnym, jednak nadzieja jaka pozostaje, bo sprawia, że człowiek ma pragnienie życia, ma zapał do walki, a jednocześnie nie widzi jej sensu. Mimo, że serce rozpiera ból, miłość i nadzieją są niepokonane.

Zrozumiała, że nie może dalej tłumić w sobie bólu. Będzie narastał, dręczył ją, nie dawał spokoju. Nie może dalej być niewolnicą samej siebie. Straciła go, tak, ale tak bardzo go kochała… kocha. Musi być silna na dowód tej miłości. Podniosła głowę, spojrzała na obraz wiszący nad kominkiem. Najważniejszy dzień w jej… ich życiu. Ich. Tacy piękni, szczęśliwi. Przymknęła powieki, chciała cofnąć się do tej chwili, kiedy nie mogła wymówić przysięgi małżeńskiej, bo tak płakała. Z radości? Ślubuję, ci. Biorę sobie ciebie za męża. Uczciwość małżeńska. Ja, Maria. Ślubuję wierność. Miłość. Tak mi dopomóż, Boże. W Trójcy Jedyny. Nie opuszczę cię aż do śmierci… Aż do śmierci.

Otworzyła oczy. Wyciągnęła rękę i delikatnie otarła dłonią twarz męża. Tak bardzo Cię kocham – szepnęła. Wiem, że nie chciałbyś, żebym cierpiała. To wszystko nie jest takie proste… Ale będzie lepiej, musi.

Uśmiechnęła się do siebie. Od wielu dni tego nie robiła, ale dziś, zaczyna nowy rozdział…, a może jakiś kończy. Stanęła przed oknem. Promienie słońca przedzierały się przez szpary między zasłonami, które niegdyś były jej tarczą chroniącą ją przed światem zewnętrznym. Chwyciła obie kotary, aby móc je odsłonić. Zawahała się jednak. Mocno ścisnęła materiał w dłoniach i pociągnęła w dół. Dzienne światło rozświetliło ją. Zrobiło jej się błogo. Poczuła, że naprawdę żyje. Wybiegła na werandę, aby przywitać się ze światem, który wyczekiwał jej tak długo. Wzięła głęboki wdech świeżego powietrza, a potem już tylko płakała, by po chwili śmiać się głośno, szczerze, z zachwytem. Była jak nowo narodzona. Pobiegła na polanę. Tam zaczęła tańczyć, śmiejąc się. Miała w głowię tę piosenkę. Nuciła ją pod nosem. Na zawsze razem, nic nas nie rozłączy. Położyła się na trawie. Łąka była mokra, ale Marii dawała ukojenie, orzeźwiała ją. Zapach kwiatów, świeży, skropiony deszczem był jak katharsis. Czuła się taka szczęśliwa, jakby mogła zapanować nad światem. Podbiegła do drzewa, oparła się o nie.

Spojrzała na to piękne miejsce, gdzie spędziła całe swoje doczesne życie. Tyle szczęścia i magii. Pobiegła dalej… W oddali dostrzegła drzewo, na którym lata temu zawisła huśtawka. Na niej siedziała starsza pani. Spojrzała na Marię i powiedziała: Nawet jeśli niebo zmęczyło się błękitem, nigdy nie gaś światła nadziei. Kobiety popatrzyły na siebie, staruszka, jednak, po chwili zniknęła. Wzrok kobiety utkwił w jednym punkcie. Kiedy się ocknęła, pobiegła dalej. Stanęła na pięknym drewnianym moście. Był bardzo stary, ale skrywał w sobie wiele tajemnic. Wdowa oparła się o balustradę i popatrzyła w dal, ponad wodę.

Żałowała, że tak długo cierpiała w samotności, że nie odważyła się wyjść do świata, że zamknęła się na rzeczywistość. Po stracie bliskiej osoby trudno jest powrócić do codzienności, do obowiązków. Trudno jest odnaleźć się w życiu, które dzieliło się z kimś, a teraz trzeba przez nie przejść w samotności. Niełatwo bowiem zrozumieć, dlaczego stało się tak, a nie inaczej? Dlaczego rozstanie spotkało nas, a nie kogoś innego? Nie należy mimo wszystko tracić nadziei, trzeba żyć dalej. I choć brakuje sił, brakuje nadziei, trzeba trwać, walczyć. Wielu mówi, że należy nauczyć się żyć z bólem po stracie bliskiego. Nie. Należy żyć z nadzieją na spotkanie, nawet jeśli miałoby być ono nie na tym świecie. Serce rozpada się na milion kawałków, ale dalej bije. Musi bić, bo wiele świat ten dla nas przygotował, a ze śmiercią bliskiego nie musi się wiązać nasza śmierć. Maria to wszystko wiedziała i wierzyła, ale… Niestety nie w tej historii– pomyślała. Nie w mojej. Spoglądała w dół, aby odnaleźć dno rwącej rzeki. Poczuła zimną toń wody, poddała się nurtowi... Ktoś widział jak jej ciało pochłonęła woda.

Zuzanna Dębiec

II nagroda w kat. młodzieży

Nowelka o (bez)nadziei

Wywrotka powoli toczyła się swoim rytmem po piaszczystej drodze. Siedziałam na przednim siedzeniu pasażera z nogami skręconymi w precel. To lato było wyjątkowo pracowite. Na tyle, żebym zdążyła już dziesięć razy przekląć całe to cholerne przedsięwzięcie. Wszyscy jak na przekór mieli rację, budowa domu to droga przez mękę, a sił zamiast przybywać jak na złość brakło z każdym zachodem słońca. Na dłoniach miałam pęcherze, włosy splątane i przykurzone budowlanym pyłem, a plecy obolałe i sztywne od ciągłej pracy w schyleniu. Sama zgotowałam sobie ten los, gardząc ofertą podupadającej deweloperki. Tym bardziej, że mój mąż wiertarką potrafił załatwić większość napraw w naszym gniazdku. Poza tym to całkiem idealistyczne, zbudować dom, zasadzić jakieś drzewo, ewentualnie jakiś krzew dla oryginalności. Został jeszcze ten syn, ale sam akt płodzenia zostawię już partnerowi. Miała być bajka, idylla, utopia, królestwo dla chujowej pani domu, która co prawda kupuje gotowy makaron, ale lasagne robi co najmniej wybitną.

Cała inwestycja potoczyła się dość szybko. Byliśmy klasycznym przykładem młodego małżeństwa, od którego społeczeństwo wręcz wymagało tej tryskającej witalności, przekładającej się potem na wnuki i prawnuki tego narodu. Do kompletu może jeszcze jakiś piesek, choć Grzesiek zawsze roił jakieś fantazje o ogródkowym krokodylu. Więc sam fakt, że dom ten musi prędzej czy później powstać był pewny i absolutnie niezaprzeczalny. Jak to w życiu bywa, każdy w promieniu kilku kilometrów miał swoją opinię, która mniej lub bardziej przyczyniała się do mojego poczucia wątpliwości i bezsensu jakiejkolwiek już konstrukcji budowlanej. Najwięcej do powiedzenia mieli rodzice, ale mając to szczęście zlewania ich niesłusznego zdania od szkoły średniej, byliśmy przyzwyczajeni i wytrenowani w odburkiwaniu nic nieznaczących pomruków aprobaty. Szczególnie do mojej teściowej, którą naprawdę do dziś staram się pokochać całym sercem, ale skutek bywa daleki od zamierzonego.

Jedyne co do czego się zgadzaliśmy, to materac. Pieprzony materac, na którym nie mieliśmy oszczędzać, miał być duży i na tyle twardy, żeby mój stary chociaż częściowo wstawał z niego bez bólu pleców. Cała reszta budziła wiele sporów, które obnażały nasze prawdziwe oblicza. Moją porywczość, jego stoicki spokój. Moje rozchwianie, jego logiczną analizę. W końcu mój upór i jego uległość. Przeszliśmy już tyle, że oboje nie godziliśmy się na to, żeby pokonał nas jakiś dom. Tym bardziej, że to przecież ten cel, do którego tak dążyliśmy, który nas zespalał i na końcu dzielił. Ja wiedziałam, że jak dom to tylko z nim, on wiedział, że jak kuchnia to tylko z moim brownie w piekarniku. Było w tym wszystkim sporo agresji zmieszanej z jakąś niezrozumiałą czułością i sentymentem, który za każdym razem zawracał nas na wspólną drogę kiedy któreś z nas wchodziło na niewłaściwą ścieżkę. On wiedział, że ja jestem zołza, a raczej jego zouza, o którą stawał w szranki z niedoszłym adeptem nauk medycznych. Był czarnym koniem w całym wyścigu, nikt na niego nie stawiał, ale jak już wygrał, każdy przekonywał, że od początku to wszystko przewidział. A mnie się zdaje czasem, że sam Bóg tego nie przewidział, ale teraz jak na to patrzy to musi mieć całkiem niezły ubaw.

Byliśmy jak ying i yang, totalnie skrajni i różni, ale dzięki temu była między nami ta równowaga. Nikt mnie tak nie inspirował do bycia lepszą żoną niż mój własny osobisty partner. I mogły być najcichsze dni, najburzliwsze kłótnie i najboleśniejsze wymiany zdań, a ja i tak wiedziałam, że on mnie też…mocno i na zawsze. Czy taka miłość się w ogóle wydarza ? Chyba tak, nie tylko w filmach i piosenkach jak się okazuje, choć mi też czasem trudno w to uwierzyć. To chyba kwestia tej chemii, której nikt nigdy nie widział, której nie da się zmierzyć i zbadać, ale jak już ją poczujesz, to wiesz, że jesteś w domu. W tym domu z nim, z psem czy kotem, z dzieckiem płci męskiej czy żeńskiej, z czajnikiem czy ekspresem do kawy, który zawsze się psuje akurat rano. A świat mógłby się kończyć każdego dnia, wzruszasz się do łez i szepczesz do tych czarnych oczu jakieś magiczne zaklęcia poświadczające wasze przywiązanie i najszczersze pokrewieństwo dusz jakie w ogóle istnieje. To jak płomyk, co przygasa, bucha i rozżarza się…ale on nigdy nie gaśnie. Na ani jedną chwilkę nie przestaje dawać światełka, dzięki któremu z dnia na dzień stajesz się lepszą jednostką świata.

Cała nasza relacja płynęła, ja ją spinałam w szabloniki i przyspieszałam, on ją uwalniał i robił z niej coś przyjemnego, coś co miało sens, coś z czego nie

chciało się wychodzić. Z nim czułam się ciepło, jakby cały świat mnie obejmował, jednocześnie leżąc u moich stóp, czekając aż się z nim w końcu rozprawię. Dawał mi wszystko, czego potrzebowałam. Dziecięce pieszczotki, skoszoną trawę i mokry policzek. Odchyloną szyję przy głośnym śmiechu, melodię do tańca i rękę do trzymania w najbardziej mroczne noce pełne koszmarów. Radość, on dawał po prostu radość z tego, że jestem, że jesteśmy i że jest dobrze tak jak jest. Jak głupiutka trzpiotka grałam jego księżniczkę, ale właśnie tak nam było dobrze.

I teraz ten dom. Coś na co każde z nas tak usilnie i długo pracowało. Tak bardzo chcieliśmy ten obrazek. Drewniane schodki wytrzymujące ciężar każdej presji i żalu. Jasne ściany chłonące każde słowo, nawet to niewypowiedziane. Poduszki przyjmujące wszystkie słone łezki, szczególnie te dziecięce po nabiciu guza. Wanna zmywająca cały brud i parszywość minionego dnia. Wreszcie ten stół do przypalonych ciast, aktów miłosnych, wieczorów z planszówką i dzielenia się opłatkiem. Wanna zmywająca cały brud i parszywość minionego dnia. To wszystko miało być, współgrać z naszym temperamentem i komponować się z naszym nastrojem. Do tego ogród, japońskie wiśnie, bezczelne berberysy i gęsta trawa dla bosych stóp. Raj dla Adama i Ewy, którzy tym razem wcale nie żałują swoich grzechów. To wszystko żyło w naszych głowach, pracowało na swój sukces i z dnia na dzień coraz bardziej się urzeczywistniało. Mieliśmy mur. I mieliśmy dach. Było miejsce dla każdego. Nawet dla tego jednego bezdomnego, gdyby zabłądził…

Ten przeklęty gmaszek był naszym oczkiem w głowie. Pochłaniał wszystkie pieniądze, cały nasz wolny czas i zapasowe pokłady energii. Był uosobieniem naszych uczuć, przedłużeniem naszej pełnej pasji relacji. Nasze pierwsze dziecko bez naszego DNA. Grzesiek każde popołudnie spędzał na bliżej nieokreślonych czynnościach budowlanych. Ja na każdej przerwie w pracy tworzyłam nowe tablice na Pintereście w poszukiwaniu tych idealnych zasłon, dywaników i poszewek, mimo iż do nich jeszcze długa droga. To był nasz powód do dumy, nasz mały kraniec świata, w którym wszystko miało przebiegać według naszych własnych zasad. Takie małe państewko, w którym wszystkie role obsadzaliśmy my, świadomi naszych praw i obowiązków. Pokładaliśmy wszelkie nadzieje w tym rozczulającym przedsięwzięciu, wierzyliśmy do utraty tchu, parliśmy do przodu, a nawet dalej.

I pewnego dnia niebo zmęczyło się tym swoim żałosnym błękitem. Wszystko wydarzało się szybko i nagle. Ogień prawdopodobnie zajął się od jakichś śmieci zostawionych niespiesznie na później. Najpierw pochłonął dach, potem spłonęło już wszystko. Nie było co zbierać, nie było co wracać, nie było w ogóle o czym mówić. Przestaliśmy istnieć. Właśnie tak się czuliśmy. Jak bez nerki, z pękniętą czaszką i złamanym sercem. Co umarło, to nie żyje. Nigdy nie wierzyłam specjalnie w moc wskrzeszania. Teraz wierzyć przestałam w ogóle. Bo chodziło o nas. Ten dom, to byliśmy my. Zawoalowani w te metaforyczne bzdury. Ale co należy zrobić, gdy pali się twój fundament ? Nikt nigdy nie uczył nas co mamy robić, gdy chce się nam płakać, ale my nie potrafimy…

To więcej niż lekcja życia. To tor bez przeszkód, tylko z felernym losem. A najgorzej czujesz się wtedy, gdy uświadomisz sobie, że nie masz nad tym żadnej mocy sprawczej. Coś się wydarzyło, skończyło, minęło bez twojej zgody, bez twojego udziału. Jak bardzo ucierpiała na tym moja ciągła potrzeba poczucia kontroli. Grzegorz tylko milczał. On zawsze tylko milczy, gdy robi się źle. Kiedyś go za to kochałam. Teraz zaczynałam go za to nienawidzić. To tak jakby się poddał, oddał bez walki, tak po prostu zaakceptował fakt straty. I kiedy chciałam się znów rzucić na niego z tymi piąstkami i winić go za całe zło świata on tylko znów spojrzał na mnie tymi czarnymi oczami i wyszeptał:

− Ja ciebie też.

Oliwia Lejman

III nagroda w kat. młodzieży

Piorunujące wrażenie

– To by było 12 zgonów i 29. rannych w wyniku wyładowań atmosferycznych dwa tygodnie temu, 15 zgonów i 33. rannych w zeszłym tygodniu, oraz 17 zgonów i 40. rannych w tym tygodniu. Wydaje się, że wyładowania przybierają na sile albo trwają dłużej… – Zmęczony żmudnym kartkowaniem i sprawdzaniem raportu za raportem rudowłosy technik przeciągnął się i ziewnął, wytrącając tym swego przyjaciela blondyna z zamyślenia.

– Niemożliwe. Dobrze wiesz, że osobiście sprawdzano wszystkie przyrządy i jak do tej pory nie wykazały one żadnych odstępstw od normy, a już na pewno nie tak gwałtownych i drastycznych jak te. Fronty atmosferyczne zgodnie z przewidywaniami naszych komputerów poruszają się wzdłuż gór Armstronga, przez niziny Hawkinga, aż po kolonie Alpha, Gamma i Delta. Front przesuwał się ze standardową prędkością i nie wywołał żadnych zniszczeń ponad te, do których już wcześniej dochodziło w wyniku jego działań. Nasza kopuła ochronna, jak i przyrządy naukowe są nietknięte, tak jak my zresztą, co przeczy twojej teorii. Jesteśmy w najgorszym możliwym miejscu, by przetrwać taką burzę. Najwyższy szczyt w okolicy, bez żadnych drzew wokół. To musi chodzić o coś innego… – Blondyn spojrzał swymi zmęczonymi oczyma w kierunku wielu stosów raportów, wciąż znajdujących się w stercie „do przejrzenia" i chwilę później położył swoją głowę na blacie, powoli przegrywając walkę z sennością.

– Ej, ej, ej! Nie ma spania, oj nie! Ja sam tego robić nie będę! A jeżeli nie chcesz, aby na następnej kontroli, którą przyśle Republika, dołączyli się miejscowi policjanci, by nas zamknąć za „nieudolne sprawowanie urzędu" to lepiej się z tym pospiesz! Te dokumenty same się nie sprawdzą Artur! – dodał rudowłosy mężczyzna, biorąc łyk już od dawna zimnej, słodkiej kawy, odkładając na jeden ze stosów kolejną przejrzaną kartkę.

– Spokojnie John. Myślę, że solidna drzemka dobrze by nam zrobiła. Ciężko się skupić na tak istotnym zadaniu, kiedy te wszystkie literki tańczą mi przed

oczyma. Nawet kawa niewiele nam pomaga, a mamy jeszcze do przejrzenia raporty z kolonii Beta i Gamma. Masz jednak rację, że nie można tak tego zostawić. Zrobimy tak. Ty się położysz i prześpisz chwilę, a ja sprawdzę jeszcze kilka raportów, po czym się zamienimy, dobrze? Przynajmniej jeden z nas powinien być rano wypoczęty, a bez odrobiny snu nie będziemy rano produktywni – rzekł Artur, patrząc się w oczy Johna, wyczekując aż ten, znużony żmudną pracą się zgodzi.

– Niech będzie… Ale obiecaj mi, że się nie będziesz przepracowywał. Wyglądasz na dużo bardziej zmęczonego ode mnie, a jedyne czego nam brakuje to biliony kredytów zaawansowanego sprzętu nie do zastąpienia przez najbliższe lata, bez kogokolwiek by pilnować ten sprzęt. Wolałbym nie zostać oskarżony o seryjne morderstwo poprzez katastrofalne zaniedbanie i niepoinformowanie kolonii o jakiejś wielkiej burzy… – dodał rudowłosy technik, po wypiciu swojego kubka kawy do dna, wstając od stołu, będąc tak ociężałym i zmęczonym, że gracją tej czynności było bliżej do leniwca niż do człowieka. – Dobranoc Artur. Obudź mnie, jak będziesz potrzebował zastępstwa. – Jeszcze raz ziewnął i po chwili wyszedł z pomieszczenia, nie odwracając się już do swojego kolegi, by udać się na spoczynek.

– Dobranoc John... – Artur skinął głową w kierunku swojego już nieobecnego kolegi, po czym wrócił do pracy, czytając jeden z raportów na głos. – „23 okresu Sol w wyniku wandalizmu doszło do przełamania naszych zabezpieczeń pogodowych 7 razy, z czego 2 dotyczyły zabezpieczeń na wypadek wystąpienia Wielkich Burz. W obu przypadkach udało się wykryć i naprawić uszkodzenia, zanim doszło jakichkolwiek krytycznych uszkodzeń budynków systemu podtrzymywania życia. Choć nie obyło się bez rannych i zabitych, to mogę zagwarantować, że winy za te zajścia nie ponoszą ani kolonialni inżynierowie, ani lokalne władze, lecz grupa wywrotowców. Nigdy, przenigdy nasza zacna kolonia nie pozwoliłaby sobie na takie haniebne zaniedbania i nie życzę sobie, by sugerował Pan celowe działania naszej rady czy wręcz sabotaż! Takie zarzuty są śmieszne i niedorzeczne, dlatego jest to ostatnie oświadczenie, które Panu składam w ramach tego „śledztwa”. Proszę już więcej nie pisać do mnie, chyba że w jakiejś poważnej sprawie. Burmistrz Kolonii Beta, Sebastian Roosevelt”. Nieźle się facet zdenerwował… Jeżeli mówi prawdę, to można by było wykluczyć celowe czy też przypadkowe działania kolonii, oraz próby sabotażu

czy wandalizm, szczególnie że liczba tychże zmniejszyła się przez ostatnie 3 okresy Sol. Taka sama sytuacja w innych koloniach. Sprzęt działa, kolonie robią wszystko, jak należy, burze nie wydają się przybierać na sile… No to niezłą mam zagwozdkę. Zobaczmy co o tym myśli Lighty – blondyn zasugerował sam sobie, po czym wstał ze swego dość wygodnego fotela i wyszedł na korytarz.

Mawia się, że ludzie to chaotyczny gatunek pełen irracjonalnych pomysłów i rozwiązań. Wojny, konflikty, polityka, religia, filozofia, fizyka kwantowa, kredyty. To wszystko było świetnym przykładem takiego irracjonalnego podejścia do życia, którym wykazywał się stereotypowy człowiek. Jednak zawsze były w tym wyjątki. Matematyka, aerodynamika, astronautyka, astronomia i architektura. Właśnie to ostatnie najbardziej obalało wierzenie o chaotycznym podejściu do życia rasy ludzkiej dla każdego zewnętrznego obserwatora, w formie tego prostego korytarza. Kto nigdy nie pracował lub na wycieczce szkolnej nie odwiedzał placówek służących do monitorowania planetarnej atmosfery, ten nigdy nie doświadczył prawdziwej symetrii, ładu, porządku i starannego planowania. Wyłożony piankowatą, gumową substancją korytarz ciągnął się na wiele metrów, z parami grubych, plastikowo-szklanych drzwi po obu stronach, w równych odstępach od siebie. Nad każdą parą drzwi, jak i na każdym zakręcie znajdowały się wbudowane w ściany lampy, oświetlające każdy zakamarek, nie zostawiając wiele miejsca na cień. Po suficie poprowadzone zostało okablowanie, niezbędne dla działania tak istotnego sprzętu, zabezpieczone kilkunastoma warstwami gumy, plastiku, szkła oraz najnowszej nowinki technologicznej: „żywego" metalu. Stop taki dzięki dużemu składowi nanobotów mógł być zaprogramowany, aby w przypadku uderzenia pioruna odgiąć się w specjalny, niezagrażający nikomu i niczemu sposób, tym samym kumulując w sobie całą energię uwolnioną przez tak potężne wyładowanie. Była to technologia dość świeża, eksperymentalna wręcz, jednak jak do tej pory świetnie się sprawdzała. W końcu całe ściany były pokryte tymże metalem, mimo jego niestabilności i jak dotąd nikomu nic się nie stało. Jednak to nie korytarz miał być najważniejszym punktem tej krótkiej wycieczki Artura. Były to drzwi ze średniej wielkości napisem głoszącym: „Latest Information Gathering Homeplanet Technology™". L.I.G.H.T.

Artur wślizgnął się do pomieszczenia tak cicho i zręcznie jak tylko umożliwiał mu to jego antystatyczny skafander, jednak wiecznie czujne „oczy" komputera

od razu zauważyły nowy ruch w pomieszczeniu. Komputer sam w sobie zajmował ponad połowę pomieszczenia o wymiarach 20x20 metrów, z pozostałą przestrzenią w większości zagraconą przez stosy zakurzonych papierów od dawna przeznaczonych do wyrzucenia, z ledwo wyczuwalnym zapachem tuszu znajdującego się w wielkim, cylindrycznym zbiorniku, domontowanym po zainstalowaniu tego technologicznego Behemota. Gdyby dodatkowo odjąć od wolnej przestrzeni całe to okablowanie, sześciany pamięci, zapasowe generatory oraz stanowisko operatora wraz z konsolami to tak naprawdę technik ma dla siebie 4x4 metry przestrzeni. Na jego szczęście nie ma klaustrofobii ani innych fobii związanych z przebywaniem koło wysoce radioaktywnej maszyny, która mogłaby się zamienić w bombę atomową z ataku na Hiroszimę podczas antycznej, z jego punktu widzenia, epoki „Wojen Światów". Z pewnym niepokojem, który cechuje osoby oskarżone o coś takiego, jak „seryjne morderstwo w wyniku krytycznego zaniedbania" usiadł on na stanowisku operatora konsoli i łącząc przeróżne dźwignie, guzki, przyciski i klawisze, uruchomił potężną machinę.

– Witaj Lighty. Jak się dziś miewasz? – zagadał technik.

– WITAJ CZŁOWIEKU ARTURZE. NIE WIEM JAK ODPOWIEDZIEĆ NA TO PYTANIE. KONCEPT „MIEWANIA SIĘ" NIE JEST MI DOBRZE ZNANY. JEŻELI MASZ NA MYŚLI CZY MOJE PODZESPOŁY I SKRYPTY NIE MAJĄ JAKICHŚ USTEREK, TO MOGĘ CI ZAGWARANTOWAĆ, ŻE WSZYSTKO DZIAŁA, JAK NALEŻY. W CZYM MOGĘ CI POMÓC? – odpowiedział komputer.

– Racja… – dodał blondyn, po czym odchrząknął. – Potrzebuję, abyś przeprowadził bardzo istotną i wyjątkowo szczegółową analizę. Szczegóły są mi nieznane, więc każda twoja sugestia nawet najmniej prawdopodobna mi się przyda. Jak pewnie dobrze wiesz, jestem razem z Johnem oskarżony o bardzo poważną zbrodnię, jednak jak sam doskonale zdajesz sobie z tego sprawę, nie jestem winny ani ja, ani on. Niestety twoje zeznania nie będą brane pod uwagę w sądzie, gdyż… cóż… – Artur próbował dokończyć zdanie, jednak sztuczna inteligencja komputera wcięła się, zanim mógł on dokończyć swoje zdanie.

– MASZYNĄ. DLATEGO NIE MOGĘ ZEZNAWAĆ W SĄDZIE. JEST MI DOBRZE ZNANE LUDZKIE PRAWO, BY MÓC LEPIEJ ANALIZOWAĆ

I OCENIAĆ DZIAŁANIA INNYCH. NIESTETY NAWET JA NIE MAM ZAWSZE RACJI. WIDZĘ TYLKO TE FAKTY, KTÓRE ZOSTANĄ MI PODANE, A MOJE MYŚLENIE JEST Z NATURY LOGICZNE I PRZYCZYNOWO-SKUTKOWE. ŚWIETNE DO WYKRYWANIA I ANALIZOWANIA ZMIAN POGODOWYCH, ALE DO NICZEGO W KWESTII ANALIZOWANIA ZACHOWAŃ LUDZI. TAK BARDZO, JAK DOCENIAM BYCIE STWORZONYM PRZEZ WAS, NIE MOGĘ NIE ZAUWAŻAĆ WIELU NIELOGICZNY - PRZEPRASZAM. ZNOWU ZACZĄŁEM SKUPIAĆ SIĘ NA ZADANIU POBOCZNYM. TAK. MOGĘ WYKONAĆ DLA CIEBIE TAKĄ SYMULACJĘ. PODAJ MI JAK NAJWIĘCEJ DANYCH, A ZOBACZĘ, CO DA SIĘ ZROBIĆ – machina niepotrzebnie wytłumaczyła, wyczekując odpowiedzi Artura.

– Tak. Tak to można ująć. Dane na temat zmian pogodowych sprzed ostatnich 3 okresów Sol masz już w swoich sześcianach pamięci. Wszelkie raporty zarówno kolonii, innych stanowisk badawczych z reszty globu, jak i protokoły przesłuchań podejrzanych o wandalizm zostały nam przesłane tak samo na twoje sześciany, a więc je też masz. Mogę dodać od siebie, że razem z Johnem przejrzeliśmy już część papierów i nie wyglądają one na fałszywe czy po drobione. Kontrola jest już jutro, a nie mamy nic, co by nas odciążyło. Nie wiem ile jeszcze dam radę się tak stresować… To nie jest dobre dla mojego zdrowia, a co za tym idzie, nie jest dobre dla działania tej placówki. Naprawdę już nie mogę. Co, jeżeli to moja wina? Co, jeżeli naprawdę jakoś namieszał lub namieszaliśmy? Co, jeżeli jakimś cudem nie dopatrzyliśmy się problemów, które tu występowały? – dodał Artur z lekkim niepokojem, zdając sobie sprawę z powagi swojej sytuacji. Poczuł, jak pot spływa mu z czoła i spoglądając na wielki ekran, na którym jawiła mu się perfekcyjna, symetryczna, ludzka twarz wyczekiwał jego własnego sądu ostatecznego.

– DAJ MI CHWILĘ. DUŻO ZMIENNYCH, O KTÓRYCH NIE POMYŚLAŁEŚ, A JA MÓGŁBYM ŚCIĄGNĄĆ NA ICH TEMAT DANE – oświadczył komputer, po czym kompletnie zamilkł. Nie było słychać niczego. Nastała cisza wręcz zbyt idealna, niepokojąca. Artur słyszał jak w jego żyłach płynie krew i czuł, jak jego serce zaczyna bić coraz mocniej i mocniej. Czuł, że nie wytrzyma, że zabraknie mu cierpliwości i oszaleje. Zostało mu 8 godzin. Tylko tyle ma na ustalenie prawdy, bez jakichkolwiek dowodów

czy podejrzanych, z wyjątkiem samego siebie: – CZY WIEDZIAŁEŚ O TYM, ŻE OSTATNIMI CZASY, NA TERENACH MIĘDZY NIEKTÓRYMI KOLONIAMI ZNAJDUJĄ SIĘ ZBIORY BANKÓW KREDYTÓW ENERGETYCZNYCH? SZEŚCIANY TE MIESZCZĄ W SOBIE TYSIĄCE KREDYTÓW I MIMO TAKIEGO PORZUCENIA, SĄ W PRAWIE NIENARUSZONYM STANIE, ORAZ ZAWIERAJĄ WIELE KREDYTÓW DO WYKORZYSTANIA. TAKIE WYPADKI RZADKO BYŁY ZGŁASZANE, PRZEZ CO CIĘŻKO MI BYŁO ZNALEŹĆ COKOLWIEK NA ICH TEMAT, PRZE CO CHWILĘ MI TO ZAJĘŁO. WEDŁUG USTALEŃ MIEJSCOWEJ POLICJI, BANKI TE NOSZĄ NA SOBIE ŚLADY PALCÓW, JEDNAK NIE ZNAJDUJĄ SIĘ ONE W ŻADNEJ BAZIE DANYCH, KTÓRYMI DYSPONUJĄ KOLONIE.

– No dobrze, ale co to ma wspólnego z naszą sprawą? Przecież to nie czyni mnie nagle kompetentnym czy niewinnym! Na gwiazdy! Jestem beznadziejnym technikiem, a niedługo zostanę zmarnowanym lub straconym więźniem! Nawet jeżeli coś takiego się dzieje, to przecież nie ma to wpływu na pogodę, a tym bardziej na ludzi! No może jeden z drugim się tam czasem pobije o te banki, może ktoś kogoś napadnie lub nawet zabije, ale to nie zmienia siły, z jaką burze atakują kolonie! – technik nie mógł już wytrzymać tego wszystkiego i podniósł głos, krzycząc na Lightyego, jednocześnie uderzając pięścią w stół. Był wściekły, że normalnie tak inteligenta i przydatna maszyna nagle zaczęła bełkotać jakieś bzdurne informacje, które w żaden sposób by mu się nie przydały. Przede wszystkim jednak był on wściekły na siebie, za swoją bezsilność, za to, jak bardzo polegał na tej maszynie i za to, jak prawdopodobne jest to, że to on nawalił i teraz musi liczyć się z konsekwencjami.

– PROSZĘ O SPOKÓJ CZŁOWIEKU ARTURZE. JUŻ TŁUMACZĘ, DLACZEGO TO TAKIE WAŻNE. JAK PAN ZAPEWNE DOBRZE WIE, BANKI ENERGETYCZNE MAJĄ TO DO SIEBIE, ŻE MOGĄ PRZECHOWYWAĆ TYLKO OKREŚLONĄ POJEMNOŚĆ „ENERGII" I ZAWSZE MUSI BYĆ ZACHOWANY BEZPIECZNY ZAPAS, NA WYPADEK BŁĘDU OBLICZENIOWEGO CZY PO PROSTU LUDZKIEGO NIEDOPATRZENIA LUB ZDARZEŃ LOSOWYCH. JEDNAK NAWET TAK ZABEZPIECZONY BANK PAMIĘCI NIE JEST W 100. PROCENTACH ODPORNY NA DZIAŁANIA CZYNNIKÓW ZEWNĘTRZNYCH TAKICH,

JAK NA PRZYKŁAD WYŁADOWANIA ATMOSFERYCZNE. NIE BYŁ ON PRZEZNACZONY DO TAK GWAŁTOWNEGO NAŁADOWANIA, A WIĘC PRZY UDERZENIU PIORUNA MOGŁOBY DOJŚĆ DO SPONTANICZNEGO PRZEPEŁNIENIA I EKSPLOZJI TAKIEGO BANKU ENERGETYCZNEGO, CO SUGERUJE, ŻE TE POJAWIAJĄCE SIĘ ZNIKĄD BANKI PAMIĘCI WŁAŚNIE SĄ ŹRÓDŁEM TYCH WSZYSTKICH DODATKOWYCH ZGONÓW I RANNYCH – wydedukował komputer, niewzruszony nagłym i gwałtownym wylewem gniewu ze strony człowieka. Kiedy nie posiada się emocji, emocje innych są tylko kolejną zmienną, warunkiem, liczbą.

–… Jesteś geniuszem! Tak! Rzeczywiście! To ma dużo sensu! Ponieważ to były darmowe pieniądze i nikt się po nie nie zgłaszał, to policja nie badała tych spraw tak dokładnie, a nawet gdyby postanowili to zbadać, to nie posiadają oni żadnych poszlak na temat poprzedniego właściciela. Równie dobrze można byłoby dać im kredyty i powiedzieć, że jak im się zachce, to mogą sprawdzić, skąd one są. Oczywiście, że tego nie zrobią! Sprawę powodu śmierci tych ludzi mamy wtedy z głowy. Kto jest wtedy winowajcą? Co z tego, że podamy im nasze przypuszczenia, jeżeli policja po prostu rozłoży ręce i szczerze im powie, że nie ma pojęcia, co ma w związku z tym zrobić? Wezmą mnie i Johna, bo tak im będzie wygodniej i zamkną śledztwo i będzie po mnie – stwierdził technik mimo początkowego przypływu euforii, opadając na krzesło ze zmęczenia, chowając swoją twarz w dłoniach i kontemplując kto lub co mogłoby zawinić.

– CZY NAD TĄ PLANETĄ STACJONUJĄ JAKIEKOLWIEK FLOTY HANDLOWE? – zapytał komputer, wyczekując odpowiedzi na to bardzo istotne pytanie. Choć nie był on istotą biologiczną, a co za tym idzie, nie cechowała go naturalna ciekawość, to czuł on pewną, zaprogramowaną „satysfakcję" z poprawnie wykonywanych zadań, w tym teoretyzowania.

– Raczej nie. Przynajmniej nie permanentnie. Co jakiś czas przelatuje tędy flota Megakorpu, ale nie zatrzymuje się ona na dłużej niż 3, może 4 tygodnie. Nawet nie lądują na planecie, tylko dokonują uzupełnienia swoich zapasów przy użyciu placówki orbitalnej. Jakim cudem mieliby oni pozostawić cokolwiek po sobie na planecie? Do tego musieliby wysyłać bezzałogowe kapsuły w kierunku powierzchni planety bez żadnego powodu, idealnie się wstrzeliwując w okres burz. Ale czemu mieliby coś takiego robić? To jest dosłowne wyrzucanie

pieniędzy w kosmos! – zakwestionował Artur, widząc jak bezsensowna i nierealna byłaby taka sytuacja.

– ALEŻ NIE. NIE SUGERUJĘ ANI NIE TWIERDZĘ, ŻE TO BYŁO DZIAŁANIE CELOWE CZY CHOCIAŻBY ZAUWAŻONE PRZEZ FIRMĘ MEGAKORP. TWIERDZĘ NATOMIAST, ŻE JEST TO NAJZWYKLEJSZY W ŚWIECIE WYPADEK, SERIA WYPADKÓW LUB SABOTAŻ PO STRONIE FIRMY. POZWOLIŁEM SOBIE POBRAĆ WSZELKIEGO RODZAJU DOKUMENTY NA TEMAT TEJ FIRMY I OKAZAŁO SIĘ, ŻE BYŁA ONA WIELOKROTNIE POZYWANA ZA NISKĄ JAKOŚĆ USŁUGI, NIE ZADBANIE O ZASADY BHP, ZŁE TRAKTOWANIE PRACOWNIKÓW I CO CHYBA NAJISTOTNIEJSZE, JEST PODEJRZEWANA O OSZCZĘDZANIE POPRZEZ NIELEGALNE SZMUGLOWANIA DODATKOWYCH, NIEZAREJESTROWANYCH BANKÓW KREDYTÓW ENERGETYCZNYCH, DOCZEPIONYCH TAK NAPRAWDĘ, JAK TO MAWIACIE WY LUDZIE, „NA ODWAL" DO STATKÓW. JEŻELI JAKIEKOLWIEK BANKI WYPADAJĄ AKURAT W TRAKCIE BURZ, A ZE WZGLĘDU NA SWOJĄ NATURĘ NA PEWNO ZOSTANĄ WCIĄGNIĘTE W JEJ CENTRUM, TO MOGĄ ONE EKSPLODOWAĆ LUB LĄDOWAĆ NA ZIEMI, JAKO TYKAJĄCA BOMBA ENERGETYCZNA, CZEKAJĄCA TYLKO BY KOGOŚ ZANICHILOWAĆ. SEKCJE ZWŁOK LUB RACZEJ TEGO CO Z NICH ZOSTAŁO, WSKAZUJĄ NA BARDZO PODOBNE PRZYCZYNY ZGONÓW, DO TYCH WYKRYTYCH PRZY SEKCJACH ZWŁOK OFIAR WYBUCHÓW BANKÓW KREDYTÓW. O ILE PRZEDOSTANIE SIĘ NA POWIERZCHNIE PLANETY PRZY UŻYCIU WIELKICH KOSMICZNYCH KONTENEROWCÓW, CZY NAWET ZWYCZAJNYCH KAPSUŁ RATUNKOWYCH, POWTARZANE WIELE RAZY NA PRZESTRZENI TYGODNI JEST NIEMOŻLIWE, O TYLE KILKANAŚCIE NIEWIELKICH, NIE EMITUJĄCYCH ŚWIATŁA BANKÓW MOGŁOBY Z ŁATWOŚCIĄ WPAŚĆ DO ATMOSFERY POD OSŁONĄ NOCY LUB PODCZAS BURZY. POTEM ZACHODZI REAKCJA, O KTÓREJ JUŻ MÓWIŁEM I VOIL?. WSZELKA LOGIKA NA TO WSKAZUJE. ZAPISZĘ PROTOKÓŁ TEJ ROZMOWY, KTÓRY MAM NADZIEJĘ, ZOSTANIE UWZGLĘDNIONY JAKO DOWÓD NA PANA BARDZO PRAWDOPODOBNĄ NIEWINNOŚĆ. CZY W CZYMŚ JESZCZE MOGĘ PANU SŁUŻYĆ? – po raz ostatni zapytał komputer, wyczekując zezwolenia

na powrócenie do swoich głównych zadań. Monitorowania, analizowania i przewidywania pogody.

– Nie, to by było wszystko. Dziękuje ci Lighty. Naprawdę ci dziękuje… – choć technik nie miał tego w zwyczaju, to przytulił konsolę, próbując okazać swoją wdzięczność, mimo oczywistej bezowocności takiego działania. – … Co ja bym bez ciebie zrobił?

– TO, CO ZAWSZE CZŁOWIEKU ARTURZE. WYKONYWAŁBYŚ SWOJĄ PRACĘ, NAJLEPIEJ JAK TYLKO UMIESZ. – Na twarzy maszyny znajdującej się na ekranie zagościł uśmiech, po czym ta zniknęła, pozostawiając technika samego ze swoimi myślami i odkryciami, oraz samego z tym, co czeka go za 7 godzin i 49 minut. Artur nie wiedział co ze sobą począć? Obudzić swojego kolegę, by ten go zastąpił i pójść spać? Poczekać do rana, pojechać na przesłuchanie i wtedy odespać to wszystko raz, a porządnie? Czy może, po prostu…

– Chyba wyjże na zewnątrz… jeżeli ci to nie przeszkadza Lighty. – Technik poprawił się w fotelu i zwinnym ruchem już spokojnej dłoni uruchomił jedną z kamer znajdujących się po zewnętrznej stronie posterunku. Lighty bez zbędnego opóźnienia i hałasu ukazał obraz na pełnym ekranie, ku uciesze technika, który zobaczył, że niebo nie było zachmurzone, brakowało mu burz i wyładowań, i nie zasłaniało słońca.

Niebo było wyjątkowo błękitne.

Sebastian Filiński

I nagroda w kat. dorosłych

Spacer z Transtömerem

Tomas słucha śpiewu słowika,
jest poza czasem, zanurzony
w świetle wyostrzonym słowiczym tremolo

z zegarków wycieka czas i błękit;
minuta po minucie, kropla po kropli, błysk za błyskiem -
są teraz jak starożytne klepsydry wypełnione jasnością,
ale nie potrafią utrzymać powolnego odpływu

tylko luty zatrzymał się na zawsze,
uwolnił chłód, a zziębnięte ptaki nie potrafiły już powrócić
pod dach gałęzi

roztargniony słowik spadł nam pod nogi,
zasłuchany w siebie zapomniał o drodze
i obowiązku

horyzont rozwinął się jak błyszcząca wstążka,
w białym świetle nadzieja wzeszła śniegiem,
zagarnęła życie
słowik ożył

Małgorzata Borzeszkowska

Do nadziei

Nadziejo nasza głupiutka w sukience czerwonej,
nie musisz być tuż obok, trzymać nas za rękę,
byle z wiatrem od sadu szept twój nas doleciał,
i byś wierzyć nam dała: jutro będzie piękniej.

Och, nadziejo niemądra w znoszonych bamboszach,
dreptać wkoło nie musisz z miną zatroskaną,
bylebyś chciała nocą szronem namalować
na szybie jasne słowa: cudniej będzie rano.

Możesz się nawet ukryć na najwyższej wieży,
gniazdo tam ciepłe uwić, lub zamieszkać z drozdem,
bylebyś, gdy znów spłyniesz z ciepłym, letnim deszczem,
umiała nas przekonać, że znów będzie dobrze.

Nadziejo niezbyt lotna, przyjaciółko bardów,
nie musisz być tuż obok, na odległość ręki,
bądź choć tam, gdzie cię kiedyś sam Bułat zapisał -
w kilku słowach i nutach rosyjskiej piosenki.

Małgorzata Borzeszkowska

Czytelnik pisze do Kawafisa

Drogi Konstandinosie.
Zaopatrzyłem się w nowe świece,
stare, schowane w kufrze, pożółkły
i pachną goryczą.
Kupiłem, choć były drogie- płaciłem złotem i pochlebstwem, modlitwą do stu bogów-
były tego warte.
Smukłe, wonne jak rozmaryn i tymianek, błękitne kolorem zmęczonego nieba.
Te już wypalone zachowam, może w ostatnią noc ich powidoki oświetlą mi drzwi,
za którymi ciemność.

Nowe świece oszczędzam, nie piję, rzuciłem palenie,
siedzę w fotelu i je zliczam, wącham i pocieram palcami gładki wosk.

Drogi Konstandinosie,
a może czas zapalić je wszystkie naraz?
Byłoby to piękne zakończenie,
a potem niechby ktoś zebrał ogarki
i wytopił z nich dla siebie całkiem nowe światło,
całkiem nową nadzieję.

Małgorzata Borzeszkowska

II nagroda w kat. dorosłych

* * *

w jaskini utkanej z płatków róży
światło umarło
szorstkie łodygi oplotły słońce
rozprysło się
ognisty deszcz rozpalił
dawno zapomniane uczucia
ostre kolce przebiły gwiazdy
spłynęły po aksamitnym niebie
obmyły cię
w srebrnej posoce
martwe liście przykryły wieczny ogień
rozkopuję go
zostawiając ślad
krwawiących dłoni
i tylko w kącie w pajęczynie
tli się zapałka

Klaudia Janiak

* * *

powiedziałeś że niebo zginęło
czarna kostucha oplotła je ramionami
srebrna krew rozprysła na firmamencie
powiedziałeś że ptaki odeszły
zabrały ze sobą wszystkie pieśni
droga z opadłych piór
ciągnie się po czarny horyzont
a ja wciąż widzę
te błękity
te rozśpiewane błękity
rozświetlone twoim blaskiem

Klaudia Janiak

* * *

zamknięty pokój bez drzwi
pochłania całe światło poranka
odżywające słońce
rodzi nowy dzień
na środku w ciemnej plamie
pustka napiera na drewniany stolik
otulony cieniem ptak
nie poruszy już swoim piórem
wyzbył się ostatniego oddechu
teraz należy do nocy
samotny wśród kurzu
dopóki nie pojawi się On
z czułością pogładzi zmięte piórka
przesunie leniwe promienie
ukoi swój twór
i ciszę znów muśnie trzepot skrzydeł

Klaudia Janiak

Lustra

przeglądam się w przedmiotach
ogłoszeniach o pracę sklepowych półkach
torebkach kobiecych i męskich kieszeniach
szklankach walczących z czerwienią
po szmince kluczach kawałkach pokala

przeglądam się w dwuznacznościach
dowcipach grach losowych miłościach
paranojach świeckich i boskich granicach
alaskańskich rzek z lodowców i oceanu spokojnego
granicach wewnątrz i na zewnątrz małych,
dużych ludzi i zwierząt podziemnym świecie
naszych łazienek miast i snów

przeglądam się w czynnościach
tarciu o siebie w ustach cukierków
bo nie wiadomo było którego wybrać
dotykaniem się rąk przez szybkę w drzwiach
kwaszeniu ogórków i twarzy lekkim powiewie
wywołanym twoją ręką
która nie trafiła pomiędzy moje włosy

przeglądam się w matkach które straciły mleko
i ojcach przypadków widzących trawę lub beton

na różnych etapach życia bardziej
małych przestrzeniach w waszych opowieściach
jak w świetle obiektywu ustawionym na 2.8
w nich ostro widać jak jest i bywało

moi przyjaciele są kanciaści
po to bym sobą pasowała

Małgorzata Osowiecka

Jest mój

Mój przyjaciel wrócił z misji, na której ratował małe papugi.
Większość nie przeżywa jednego dnia, ale dzięki niemu one żyły
dwa albo trzy dni, może tydzień i on się w tym odbijał,
przestał jesienią, gdy nie mógł oswoić kakadu i siebie
z tym, że ich malowane dziobki mają już swoje miłości
i one są ziarnem i owocami, zbożem i korzonkami,
kłosami traw i owadami.

Wiosną, kiedy do jego mieszkania wpadł jerzyk,
on prześwietlił podstawki doniczek,
szukając wody i łupinek świerszczy,
a jerzyk wziął wszystko, jak biorą jagody małe papugi
po paru dniach bez matki i nie wrócił,

a on karmił pusty balkon owsem, aż zrobiło się zimno
i było w tym coś surowego i dzikiego,
jak ptak szukający noclegowiska,
który nie wyląduje przez pięć miesięcy,
bo wyleciał wtedy z jego okna
i nie wrócił. W końcu zima

zabrała balkon dla siebie.
On pogłaskał wtedy psa,
a ten lizał jego twarz, jakby wiedział,
co to jest bezpieczne przywiązanie.

Małgorzata Osowiecka

Nadstaw policzek

Popłacz się przy rodzinie, zobacz,
jak milczą, babcia robi usta
w podkuwkę, a ojciec i matka stoją nad tobą,
gdy zjadasz liście domowej cytrynie.

Popłacz się w miejscu publicznym,
aż ludzie przestaną czytać gazety,
zobacz, jak się patrzą, a potem na trawę,
psa albo wystawę męskich garniturów.

Zrób niezręczność w samolocie Sydney-Warszawa,
nie powstrzyma cię pół doby do tyłu,
a ludzie w garniturach roztopią się
jak lodowiec.

Płacz w poduszkę, gdy obok ktoś nie śpi,
rób to, leżąc na cukrowym stole,
aż wszystko się rozpłynie i słodkie twarze
poczują się tak, jakby ratowały

koale w lesie bambusowym
i zapragną więcej. Oni wszyscy będą chcieli

głaskać twój policzek,
twój policzek solą ziemi.

Małgorzata Osowiecka

I nagroda w kat. młodzieży

Zima

a więc tak:
wstąpiłam w śmierć
jestem śmiercią drzewa
moje gałęzie obumarły z zimna
opadły, kiedy boga coraz częściej zaczęły zasłaniać chmury
Tak to jest - nie szkodzi
tłumaczę im
choć chciałoby się krzyczeć
bo ciemno
bo zimno
bo smutno
bo umiera się tam, gdzie rosły maki i dmuchawce
i pada śnieg
i drzewa już nie ma – przestało się dziać

a więc tak:
stoję teraz sama
szukam miejsca dla ciebie wśród kolorowych gablot
i jest radość
bo wszystko się świeci, jazgoce
bo jest życie tam, gdzie pada śnieg

Oliwia Plichta

Rozmowy, część 2

myślę że
porzucenie okrywa
prawdziwą twarz niepokoju
proszę pana
tak jak okryć można
twarz noworodka w upalny dzień
a pan widział kiedyś
takie dziecko bez twarzy?
— kręci głową —
nie widziałem

no to teraz pan widzi
pan widzi mój niepokój

widzę

czy pan będzie mnie porzucać

nie

to dobrze
bo wie pan jak to jest z małymi dziećmi
jeszcze są za blisko boga żeby nimi rzucać
i ja też jestem
a ona jest moim upalnym dniem
który kołysze mnie do snu w czasie spaceru
i okrywa moją twarz ciepłym powiewem

i to jest piękne proszę pana
bo przykryta mogę być mała
i mogę być słaba
i ja naprawdę czuję jak chroni mnie to ciepło
czy pan to w ogóle rozumie?

— on wzdycha
jak wielkie stare drzewo —

tak jest
kocham się w dniu
i kocham ciepło które daje
i kocham wszystko to czego nie potrafi dać
i nie boję się wichrów i deszczy
po których dzień jest tylko piękniejszy
przecież ważne jest to
że teraz obejmuje mnie promieniami
a ja płynę
otulona złotem

— stawia mnie tu
samą i obdartą ze wszystkiego
i pyta dlaczego porównuję go do starego drzewa
przecież mu nie powiem
że nikt nie szumi tak pięknie jak on —

tak
przysięgam że to samotne noce
tak rozjaśniają poranki

Oliwia Plichta

Rozmowy, część 4

Proszę Pana
Proszę tak na mnie nie patrzeć
zastanawiam się nad procesem zamarzania
łzy na policzku królowej śniegu
podkula nogi
jak dziecko śniące koszmar
Cóż
Wygląda Pani koszmarnie

zabawiam się myślą
a łzy na policzku nieznajomej
są jak spadające gwiazdy
Nie rozumiem
Ale niech się pan już nie przysuwa

przyciąga ciałem
odpycha spojrzeniem
moja katastroficzna załzawiona
metafora umierania
Myślałem że dobrze Pani zrobi
Takie jedno rozgrzane serce

ileż można by było dać
tylko za rozgrzanie tego zimna
jeden uśmiech dwa kieliszki wina

ciepła poduszka przy mokrym policzku
Skończyłam
Adieu

krucha jak płatek śniegu
znika na moich oczach
z gracją wplątuje się w podmuch wiatru
gdy jedyne co ja czuję
to lodowaty wicher
nie pozwalający mi wstać
Pani powinno być wstyd
Zostawiła mnie Pani w piekle

sam
znowu rozprawiam się w myślach
z krwawą plamą
i znowu zacząłem śnić
w złym miejscu i czasie
Nie powiedziała Pani jeszcze
Jakie kupić kwiaty

patrzyłem w oświetloną witrynę
a moje odbicie uniosło się w górę

Oliwia Plichta

II nagroda w kat. młodzieży

1.

Czy jest już Ci dobrze tam gdzie (nie) bije twe serce?
Czy twoja niewinna dusza napawa się radością?
Wciąż słowa słyszę, lekkie, czułe, niby nieistniejące,
Obijają się o płatki mych uszu, niczym spadające liście, gdy mkną ku ziemi,
Świat okrywa się natomiast kolorami jesieni,
Tymi, które twoimi ulubionymi niegdyś były,
Dookoła mnie natomiast tańczy nadzieja, stawiając ostrożnie swoje kroki,
Szepcze mi do ucha, że tam gdzie jesteś sielankowa atmosfera się odznacza,
I wierzę w to, wierzę, gdyż sama uśmiecham się teraz, patrząc na wody wzburzonej rzeki,
Czy zasługuje na to, by również i ma dusza zaznała szczęścia?
Nie wiem, lecz mimo to popchnięta powiewem nadziei stawiam
jeden krok więcej,
Mknąc ku tobie niczym liść o barwnych kolorach,
Przecie twój ulubiony, prawda?

Weronika Spławińska

2.

Pustka przedarła się przez me serce,
Wtargnęła tam gdzie nie zajrzał nikt,
Dotknęła każdego elementu mej duszy,
Przejeżdżając po nim jak po swojej własności,
Wzdrygnęłam się lekko, wzrokiem okalając płatki mego kwiatu,
Przed chwilą nasycone prawdziwą czerwienią,
Zaś teraz uschnięte i odrywające się od słabej łodygi,
I równie szybko co one opadły na dno marmurowego wazonu,
Tak ja pozbawiona nadziei ułożyłam głowę na materiale poduszki,
Pustka przedarła się przez me serce.

Weronika Spławińska

3.

Pomaluj moje wnętrze kolorem nadziei,
Dziecięcą radością, uśmiechem, który niesie szczęście,
Pomaluj mnie kolorem najpiękniejszym ze wszystkich,
Przejedź po mnie pędzlem swych pokrzepiających słów,
A ja jak płótno przyjmę każdą krople farby,
Pozbądź się tej monotonnej szarości jaka wypełnia me życie,
Smutków, które wywołują drżenie dłoni,
Pozbądź się uczucia niepotrzebności,
Zamiast tego nałóż na mnie kolejne warstwy,
Stwórz ze mnie obraz piękniejszy niż sam wschód słońca,
Błękitniejszy niż odcień samego nieba,
A ja uśmiechnę się dzięki temu szczerze, krótko,
Wracając ponownie do mej stałej codzienności.

Weronika Spławińska

III nagroda w kat. młodzieży

Kawałek

z każdym kolejnym razem
z każdym kolejnym razem coraz bardziej próbuję
ale to już nie trzyma
ale ta taśma, którą próbuje się posklejać już nie trzyma.
nie stać mnie na nową, więc cały czas używam tej
ale z każdym kolejnym razem coraz mniej klei.
nieustannie próbując jednak skleić
nieustannie próbując jednak skleić połamaną na kawałki mnie.
wciąż licząc
wciąż licząc na nieuniknione
z beznadziejnością
z beznadziejnością patrzę na odklejający się kawałek taśmy
jednakże ktoś nieznajomy
jednakże ktoś kogo jeszcze nie znam wypełnia złamanie
całkowicie nowym
całkowicie nowym kawałkiem taśmy
patrzę mu w oczy
patrzę mu w te piękne, czarujące oczy
i dociera do mnie, że chyba znalazłam.
że chyba znalazłam…

Lilianna Wysocka

Granica

będąc na krawędzi

myśląc, że to wszystko już straciło swój połysk

takie matowe

nie chcąc pogodzić się z rzeczywistością, myśląc, że nie ma innego wyjścia

ślepy zaułek

nie widząc końca marności, chcąc popełnić jedną z najgorszych zbrodni

zaślepienie

przypływ pewności co do zakończenia tego tu i teraz

chęć skoku

nagłe poczucie spokoju i bezpieczeństwa

ciepło

ręka tej osoby na ramieniu

światło w tunelu

zaufane, wykorzystane, strzaskane

powtarzające się trzy stany

takie naiwne

lecz za każdym razem bardziej uważne

organ symbolizujący tak piękne uczucie – może być tak brutalnie postawiony przed rzeczywistością

zauważając, że krwawi coraz bardziej,

widzi jak zaczyna to przesiąkać na zewnątrz ukazując swoje konsekwencje

w bezradności, czując powiększający się krwotok
widzi osobę
stoi przed nią
niezbyt znając jej zamiary w ciszy i zakłopotaniu
obserwuje
podchodzi z naczyniem
podkłada pod ciągnącą się kałuże krwi i zużytych emocji
zamacza w niej dłoń i maluje na swojej piersi
przypomina to serce
zaczyna wierzyć teraz.. że może nie wszystko stracone

Lilianna Wysocka

Okiem jurora

Tegoroczna, szesnasta edycja konkursu literackiego „Powiew Weny" odbyła się pod hasłem: *„Nawet jeśli niebo zmęczyło się błękitem, nigdy nie gaś światła nadziei"*. To cytat z twórczości Boba Dylana, wybitnego muzyka i poety, laureata Literackiej Nagrody Nobla.

Jak co roku konkurs ogłosiła Miejska Biblioteka Publiczna im. Aleksandra Majkowskiego w Wejherowie. Od lat odbywa się on pod patronatem Prezydenta Miasta. Ma charakter otwarty i skierowany jest zarówno do debiutantów, jak i autorów z dorobkiem literackim, mieszkających na terenie województwa pomorskiego.

Nadesłane prace podzielono na dwie grupy wiekowe. Pierwsza skierowana do młodzieży w wieku od 16 do 19 lat, druga do dorosłych powyżej 20 lat. Tym razem podobnie jak w grupie dorosłych i w grupie literatury młodzieżowej zostały wydzielone dwie kategorie: prozy i poezji. To powrót do takiego podziału. Uważam, że to była bardzo dobra decyzja, ponieważ w tym roku nadesłane prace stały na wyjątkowo wysokim poziomie.

Hasło autorstwa Boba Dylana zainspirowało uczestników konkursu do napisania tekstów czerpiących z różnych gatunków literackich. Jury przeczytało opowiadania nawiązujące między innymi do literatury fantastycznej. A jednak próby interpertacji pojęcia nadziei i światła, skłoniły pisarzy i poetów głównie do sięgania po tematy historyczne i społeczno-obyczajowe.

Zacznijmy od poezji młodzieży. W tej kategorii jednogłośnie pierwszą nagrodę jury przyznało Oliwii Plichty za zbiór dojrzałych wierszy, gdzie liryczne rozmowy z drugą osobą stają się pretekstem do filozoficznej zadumy nad „prawdziwą twarzą niepokoju". Poetka zadaje pytania dotyczące lęku przed śmiercią czy samotnością. Przy czym nie jest to poezja wykrzyczana, lecz stonowana, w pełni świadoma faktu, że na zadawane pytania niełatwe jest znalezienie satysfakcjonujących odpowiedzi.

Drugie miejsce przypadło Weronice Spławińskiej za zbiór trzech liryk układających się w zwarty tematycznie i formalnie poemat. Zderzenie zaobserwowanej urody świata z pustką wewnętrzną odczuwaną przez podmiot liryczny sprawiają, że czytamy propozycję egzystencjalną. Jednocześnie poemat przenika sensualne wyczulenie na kolory, jakie nas otaczają. Poetka dopasowuje kolory do opisywanego stanu psychicznego, sprawiając, że barwą nadziei staje się błękit.

Trzecie miejsce jury postanowiło przyznać Liliannie Wysockiej za wiersze, w których poetka próbuje znaleźć wyjście z sytuacji pozornie beznadziejnej. Za każdym razem te próby kończą się odzyskaniem nadziei. W tej symbolicznej liryce poetka sugeruje, że najlepszym sposobem, by przegonić zwątpienie co do wartości życia jest obecność drugiej, przyjaznej osoby. Jako czytelnicy otrzymujemy metaforyczne ujęcia spotkania z tym drugim.

Proza młodzieży stała na równie wysokim poziomie co poezja. Należy pochwalić nie tylko sprawność praktyczno-literacką, lecz również pomysłowość, która stanowiła o atrakcyjności fabularnej poszczególnych tekstów.

Za najlepsze w tegorocznym konkursie jury uznało opowiadanie Zuzanny Dębiec, pt. „Nowy początek". Bardzo dobrze napisane studium samotności po stracie ukochanego męża to pretekst do podróży w czasie, gdzie wspomnienia mogą odgrywać również rolę kojącą. Dojrzała proza, stanowiąca poruszającą, wnikliwą analizę cierpienia i tęsknoty za bliską osobą, utraconą na zawsze. Autorka stawia pytania, czy w ogóle można sobie z tego rodzaju tęsknotą poradzić.

Drugą nagrodę otrzymało opowiadanie Oliwii Lejman, pt. „Nowelka o (bez)nadziei". Ukazuje życie młodego małżeństwa, które usilne dąży do zrealizowania marzeń. Takie dążenie może przyczynić się do wielu sytuacji konfliktowych. Budowa pierwszego domu staje się utrapieniem, które oddala od siebie zakochanych. Nagły wypadek, z pozoru nieszczęśliwy, okazuje się zbawienny dla uratowania małżeństwa. Prócz atutów formalnych, kolejnym jest ten, że w swoim tekście autorka ukazuje relacje międzyludzkie w sposób psychologicznie jak najbardziej wiarygodny.

Miejsce trzecie otrzymał Sebastian Filiński za opowiadanie, pt. „Piorunujące wrażenie". Teksty z gatunku fantastyki naukowej rzadko są nagradzane w wejherowskim konkursie. Wynika to prawdopodobnie z dużego wyzwania, jakim jest próba opisania rzeczywistości futurystycznej. Łatwo popaść w banały, które

nie przekonują czytelnika do danej wizji przyszłości. Tekst Sebastiana Filińskiego daleki jest od banałów. W sposób odświeżający przytacza między innymi rozmowę człowieka z komputerem. Intryga rozwiązana przy pomocy analitycznego rozumowania, sprawia, że czytamy tekst inteligentny i zaskakujący.

Omawianie twórczości dorosłych warto zacząć od poezji, która w tym roku została całkowicie zdominowana przez panie. Trzy pierwsze nagrody otrzymały poetki, prezentując poezję w pełni ukształtowaną.

Pierwsze miejsce zajęła Małgorzata Borzeszkowska. Zaszła sytuacja wyjątkowa, ponieważ poetka powtórzyła swój sukces sprzed roku, kiedy to również otrzymała pierwszą nagrodę za zbiór wierszy. Fakt ten świadczy o wysokiej jakości proponowanej przez nią liryki. Tym razem czytamy trzy wiersze „ogrywające" treść hasła, pod którym odbył się tegoroczny konkurs. Równocześnie poetka w swych utworach podejmuje dialog z wybitnymi twórcami poezji. W „Spacerze z Transtömerem" nawiązuje do postaci szewdzkiego poety, laureata Nagrody Nobla z 2011 roku. Spotkanie z umierającym i ożywającym słowikiem staje się metaforą odnawialności świata. Z kolei wiersz, pt. "Do nadziei" jest próbą opisu tytułowej "bohaterki", a zarazem formalnym nawiązaniem do twórczości Bułata Okudżawy, rosyjskiego barda, kompozytora ballad i pieśni lirycznych. Natomiast trzeci w zestawie utwór to liryczny list czytelnika do Konstandinosa Kawafisa, wybitnego greckiego poety, gdzie motyw wypalających się świec nie kończy się ciemnością, lecz zapowiada "nowe światło", "nową nadzieję".

Drugą nagrodę w kategorii poezji otrzymała Klaudia Janiak. Wiersze ascetyczne i skromne, pozbawione zbędnych słów, ukazują rzeczywistość przez pryzmat przyrody. Poetka konstruuje tematy swojej liryki wokół natury, światła i ciemności. To poezja skupiona na obserwacji, w którą zaangażowane są wszystkie zmysły. Zderzenie ekspresyjnych obrazów ze skromnością drobnych rekwizytów, wywołuje kontemplacyjną refleksję nad tym co tracimy i odzyskujemy.

Trzecią nagrodę jury przyznało Małgorzacie Osowieckiej. Wiersz „Lustro" to nie tylko studium tytułowego przedmiotu, ale cały katalog rzeczy, spraw i sytuacji, które budują naszą rzeczywistość. Wnikliwa obserwacja tej rzeczywistości jest próbą jej uchwycenia i w jej odbiciu zrozumienia siebie. Ukazując proste czynności swoich bohaterów, poetka skłania czytelnika do pytań

dotyczących naszego poczucia bezpieczeństwa w świecie, w którym tak często czujemy się zagubieni.

Czas na prozę. W tej kategorii z kolei całe podium zajęli panowie. Pierwsze miejsce otrzymał Dominik Kasicki za opowiadanie, pt. “Manekin”. Bohaterką tej krótkiej nowelki jest starsza kobieta. Czytelnik towarzyszy jej w zakupach na bazarze i bierze udział w jej rozmowach ze sprzedawcami, którzy uważają ją za niespełna rozumu. Zaciera się granica pomiędzy tym, co opowiada bohaterka, a tym co rzeczywiście miało miejsce w jej życiu. Tekst napisany prostym językiem, pozbawionym stylistycznych udziwnień, skupia się na przedstawieniu realistycznego obrazka wyciętego ze zwykłego dnia samotnej kobiety. Pozbawiony zbędnego moralizowania, skłania do refleksji nad osamotnieniem starszych ludzi i ich lekceważącym traktowaniu przez innych.

Nagrodę drugą otrzymał Krzysztof Szkurłatowski za opowiadanie, pt. “Ludzie i obłoki”. Mamy tu doczynienia z prozą historyczną. Ukazuje między innymi losy francuskiego lekarza Pierre'a Pipidgé'a, który urodził się w Petersburgu. Akcja osadzona w czasach Wielkiej Wojny, Rewolucji Październikowej czy I wojny światowej ukazuje losy ludzi skazanych na ciągłe zagrożenie. Doskonałe opisy ówczesnych realiów, wstrząsające scenki rodzajowe, wielość punktów zwrotnych oraz pojemność fabularna tekstu sprawiają, że mogłaby powstać z tego fascynująca powieść.

Trzecie miejsce zajął Tomasz Magulski opowiadaniem, pt. “Pielgrzym”. Podobnie jak wcześniejsze dwa i ten tekst wyróżnia wysoka jakość formalna i fabularna. Opowieść o tragedii rodzinnej staje się protekstem do pewnej podróży, która umiejscawia głownego bohatera w Genazaret w 31 roku n.e. Jury nie miało najmniejszych wątpilowści, że i to opowiadanie zasługuje na podium.

Poza nagrodzonymi tekstami jury przeczytało jeszcze wiele wartościowych opowiadań i wierszy. W sumie na tegoroczny konkurs napłynęło ponad czterdzieści zestawów. Jednak zadaniem jury jest dokonanie wyboru. Nie zawsze jest to łatwa decyzja. Czasami szkoda odrzuconych zestawów. Dlatego tych, którzy nie zmieścili się na konkursowym podium tym bardziej zapraszam na kolejną edycję “Powiewu Weny”, która odbędzie się już za rok! Pisanie należy do wytrwałych.

Daniel Odija

SPIS TREŚCI

Krzysztof Hildebrandt – *Drodzy Czytelnicy* 3

WYNIKI KONKURSU 5

Dominik Kasicki - *Manekin* 7

Krzysztof Szkurłatowski - *Ludzie i obłoki* 11

Tomasz Magulski -*Pielgrzym* 23

Zuzanna Dębiec - *Nowy początek* 33

Oliwia Lejman - *Nowelka o (bez)nadziei* 40

Sebastian Filiński - *Piorunujące wrażenie* 44

Małgorzata Borzeszkowska - *Do nadziei, Czytelnik pisze do Kawafisa*, * * * 54

Klaudia Janiak - ***, ***, *** 56

Małgorzata Osowiecka - *Lustro, Jest mój, Nadstaw policzek* 59

Oliwia Plichta - *Zima, Rozmowy cz. 2, Rozmowy cz. 4* 63

Weronika Spławińska - *1., 2., 3.* 68

Lilianna Wysocka - *Kawałek, Granica* 70

Daniel Odija - *Okiem jurora* 73

75 LAT
Miejskiej Biblioteki Publicznej
im. Aleksandra Majkowskiego
w Wejherowie

978-83-940674-6-5